

● CZY CUKIER NAS POKRZEPI? ● SAMOTNOŚĆ PRZY NAFTÓWCE ● CHŁOPSKIE DOLE I NIEDOLE ● DEMOKRACI W ROLI STATYSTÓW ● CZY CZEKA NAS STAN WOJENNY? ● WOJNA POLSKO-RADZIECKA 1939 ● DLACZEGO JERZY URBAN GROZI PREMIEROWI? ● PIERIESTROJKA W ZSRR

TYGODNIK
WSCHODNI

PL. MON 0000-3330

relacje

LUBLIN, 21-27 IX 1989 R.

NR 36

CENA 120 ZŁ

WYDAWAC by się mogło, że Bóg doświadczał ich od początku, a oni z radością i wiarą składali mu swe cierpienia w ofierze.

Początek tych doświadczeń datować trzeba na schyłek XVI wieku, kiedy to na synodach w Brześciu — między czerwcem 1595 a październikiem 1596 roku — zawarto unię, która kościół prawosławny w Rzeczypospolitej podporządkowała papieżowi. Zachowano przy tym liturgię obrządku wschodniego i odrębność hierarchii kościelnej; przewidywano nawet dopuszczenie biskupów unickich do foteli senatorskich w Rzeczypospolitej.

Wkrótce przeciw unii wystąpiła znaczna część ruskiego chłopstwa, mieszczaństwo, prawosławny kler, a nawet drobna szlachta i niektórzy magnaci. Rozpoczęły się długotrwałe walki religijne w całej Rzeczypospolitej. Widmo przelanej krwi na wieki zaciążyło nad unitami, którzy pogodzili się z postanowieniami brzeskimi i rozpoczęli mozolną budowę swego kościoła: bardziej unicko-greckiego lub greckokatolickiego, niż prawosławnego.

Od czasu rozbiorów losy ich kościoła były przesądzone. Należało się spodziewać, że carska Rosja będzie dążyła do zjednoczenia całego prawosławia. W cesarstwie rosyjskim unia brzeska przestała obowiązywać już w 1839 roku; w guberniach siedleckiej i lubelskiej — od roku 1875. Unicy mieli być wcieleni do kościoła prawosławnego.

WEDŁUG REYMONTA

„Kraj płaski, równy jak stół, przestronny; oczy leca, niby ptaki, w cały ogromny świat, leca daleko i radośnie, aż za przemglone niebieskie krańce nieba [...]”

„Wszystkie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów”.

Tak zobaczył Czerwone Podlasie w 1909 roku Władysław Reymont, który przyjechał w te strony, aby opisać trzydziestoletnią martyrologię podlaskich unitów. Owocem tej wędrówki był reportaż literacki wydany rok później w książce pt. „Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki”. Jakby w pobojnej pielgrzymce, jeździł wówczas Reymont „po stacjach polskiej Kalwarii”: Łomazy, Piszczac, Biała, Horbów, Pratulín, Janów i wiele innych miejsc wspaniałych cudami chłopskiej wiary i męczeństwa.

Od kasaty unii w 1875 roku do roku 1905, kiedy to wydany został ukaz tolerancyjny, a lud gromadnie porzucił prawosławie, minęło lat trzydzieści. Wycinkiem tej trzydziestoletniej historii Podlasia są dzieje małej wioski Hrud. Niczym w soczewce skupiają one obraz i skalę prześladowań.

„Hrudy najwcześniej na Podlasiu — pisze Reymont — bo jeszcze w 1867 roku, wzięły pierwsze ciężki za uparte trwanie przy unii. Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów. [...]”

W lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.



Antoni Maksymilian Piotrowski — „Unicy w Polsce”.

Reprodukował Waldemar Stępień

UNICI PODLASCY

Marek Podgajny

Przywiózł go sam Marceli Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogocynnego Kalinowskiego i sporego orszaku Kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo. [...]

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznymi karami za nieposłuszeństwo. [...]

Jakoż w końcu września zjawiała się we wsi sotnia Kozaków, a za nimi przemaszerowała rota piechoty i rozkwatowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud. A na zakończenie Hrudy zapłacili jeszcze kontrybucję, kilku gospodarzy na parę miesięcy poszło do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Cerkwi jednak wciąż chłopcy strzegli. Jak oka w głowie, strażę czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień zwiastowania zjawił się najnie spodziewanej nowy, „ukazowy” proboszcz, niejaki

Starosielec, w towarzystwie błogocynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopcy znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i głośnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ks. Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy!”

Starosielec wyniósł się pospiesznie, ale jeszcze kilkakrotnie próbował „zaskoczenia” objąć probostwo w Hrudach. Za każdym razem przychodziło z nim coraz więcej strażników i wojska. Raz, gdy chłopstwo zniwowało na polach, udało mu się zająć cerkiew. Jednak na wieść o przybyciu „ukazowego” podniósł się wielki wrzask zniwiarzy; każdy chwycił co mu w garście wpadło i leciał, by bronić cerkwi.

Starosielec nie dał jednak za wygraną...

„Tak przeszło do 1875 roku, w którym na Hrudy zważyło się nowe, chociaż już od dawna głośnie wiszące nieszczęście. — pisze dalej Reymont. — Pewnego bowiem dnia, przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi

wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie ochrzczone. [...]”

Bano się, ale też nikomu ani powstało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zaturę?...

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą kohortą chodził po wsi, wycytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy. [...]

Wójt naraz się obejrzał i, ujrawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzież baby? Gdzież dzieci?... Ponure, ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryć:

— Wychodź! Wychodź, bo za łby was wszystkich powyciągam!

Dokończenie na str. 4—5

relacje

ZE ŚWIATA

◆ Do gangsterskiej napaści na rumuńskich turystów doszło na rumuńsko-węgierskiej stacji granicznej Epikopie-Bihar. Żołnierze rumuńscy, bez żadnych wyjaśnień, wysadzili z nocnego pociągu relacji Bukareszt-Budapeszt ok. 30 Polaków, których następnie zapędzili przy pomocy kolb karabinów i granatów łzawiących do dworcowej poczekalni, gdzie byli oni bici i maltretowani. Wypuszczono ich dopiero po ściągnięciu haraczu w wysokości 2 tys. lei. Pobitymi turystami opiekowali się serdecznie Węgrzy i polskie władze konsularne. Jedną z ciężko pobitych osób znajduje się w szpitalu węgierskim. „Zdarzenie” to nie jest pierwszym dowodem specyficznie pojmowanej przyjaźni rumuńsko-polskiej.

◆ Rumuński ekspert podkomisji praw człowieka ONZ, Dumitru Mazilu, nie wypuszczony od pewnego czasu z Rumunii, przesłał drogą nielegalną do Genewy raport o „rządach szaleństwa” w swoim kraju. Bukareszt jest zdania, że Mazilu „nie posiada niezbędnych możliwości intelektualnych” potrzebnych do zredagowania raportu dla ONZ.

◆ W wywiadzie dla jugosłowiańskiego tygodnika „Danas”, prezydent Rumunii Nicolae Ceausescu powiedział, że jego „hobby jest urzeczywistnianie socjalizmu w Rumunii”.

relacje

Z KRAJU

◆ Nowy rząd zainstalował się w póki co, starych budynkach.

◆ „Czuję się w tej roli śmiesznie. To niesamowite — te gabinety, sekretarki. Speszylem się”. Refleksja nowego ministra pracy, płac i spraw socjalnych Jacka Kuronia po pierwszym dniu urzędowania.

◆ O propozycji uczestnictwa w rządzie Izabella Cywińska dowiedziała się w Omsku, dokąd udała się, aby przygotować występy Teatru Nowego z Poznania. Po przesłuchaniu jej przez Komisję Kultury i Środków Przekazu, Andrzej Łepicki zażartował: „I znowu przegłosowaliśmy ministra, który przyjechał ze Związku Radzieckiego”. (Chodziło o Kazimierza Zygulskiego — przyp. red.)

◆ General Florian Siwicki uzyskał akceptację Klubu PZPR na stanowisko ministra obrony narodowej przy 38. głosach za, 25. wstrzymujących się i 10. przeciwnych nominacji. W trakcie przesłuchania przyszłego ministra, lubelska posłanka Izabella Sierakowska stwierdziła, że za jego „rządów” wojsko „zdzia- działo” również pojęcie patriotyczno-obronnego wychowania młodzieży.

◆ Nowy minister współpracy gospodarczej z zagranicą Marcin Święcicki w wywiadzie dla „Gazety Wy-

◆ Trwa regularna wojna rządu kolumbijskiego z kokainową mafią. „Narkotykowe podziemie” dokonało serii zamachów bombowych w centrum Bogoty. 400 sędziów kolumbijskich podało się do dymisji z obawy o życie. Prezydent Bush wyasygnował kolejną poważną kwotę na walkę z kokainowymi gangami.

◆ Szef dyplomacji węgierskiej Gyula Horn, odpowiadając na oskarżenie enerdowskiej agencji ADN o „handel żywym towarem” (wypuszczenie obywateli NRD do Austrii bez wymaganych dokumentów — przyp. red.), stwierdził: „Czytam często doniesienia różnych agencji o dotowaniu NRD przez RFN — toteż przypuszczam, że bez podstawne oskarżenie nas o przyjmowanie zapłaty za wypuszczonych uchodźców oparte jest na własnych doświadczeniach”.

◆ Po szesnastominutowym spotkaniu z prezydentem USA Georgem Bushem, Borys Jelcyń przemawiał na zebraniu Rady Miejskiej Chicago. „Pierestrojka jest w niebezpieczeństwie. Sądzę, że mamy tylko rok, by udowodnić jej skuteczność. Znajdujemy się w głębokim kryzysie gospodarczym: 48 milionów ludzi żyje w nędzy” — powiedział m. in. Jelcyń.

◆ Rzecznik radzieckiego MSZ Gienadij Gierasimow stwierdził, że poglądy wyrażane przez B. Jelcyna w czasie jego amerykańskiej podróży mają całkowicie prywatny charakter.

◆ Przeciwno francuskiemu reżyserowi Claude'owi Autant-Larze toczy się postępowanie sądowe za „Obrazę i zniesławienie o podłożu rasowym i

borczej”: „W RWPG każdy jest przekonany, że dopłaca do innych. ZSRR także. Można powiedzieć, że sprzedajemy za grosze, a kupujemy za kopiejkę, bo kursy są śmieszne. Gdyby jednak przeliczyć to na dolary, nie wiem, czy byśmy na tym dobrze wyszli”.

◆ „MSZ powinno wystąpić do ZSRR o odszkodowania dla Polaków, którzy ucierpieli podczas wojny. Powinno się stworzyć warunki do powrotu Polaków z ZSRR, nawet gdyby to miało przybrać powszechny charakter” — powiedział nowy minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski.

◆ Poseł Józef Oleksy (PZPR) zaprotestował przeciwko nazywaniu MSZ z trybuny sejmowej „stacją Augiasza”, uważając tę opinię za przesadną.

◆ Idealem bankowym prezesa NBP (po raz drugi na tym stanowisku) jest Bundesbank, czyli bank zachodniemiecki. I trudno się dziwić — przecież tam znajdują się nasze główne pasywa...

◆ „W moim przekonaniu każdy członek partii politycznej, a wynika to niezbicie ze statutu, musi być dyspozycyjny wobec partii. Sędziowie natomiast nie mogą być wobec nikogo dyspozycyjni. Z tego też powodu nie mogą być członkami partii politycznych” — Aleksander Bentkowski, nowy minister sprawiedliwości.

◆ Komitet Wykonawczy OPZZ uznał, że „kierownictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przestaje być politycznym gwarantem interesów świata pracy”.

pobudzenie nienawiści rasowej”. Sprawa dotyczy antyżydowskich wypowiedzi reżysera pod adresem Simone Veil, byłej przewodniczącej Parlamentu Zachodnioeuropejskiego. W wywiadzie dla miesięcznika „Globe” Autant-Lara stwierdził, że: „Kiedy mówi mi się o hitlerowskim ludobójstwie, to odpowiadam na to, że w każdym razie nie zdołano zamordować mamusi Veil. Należy ona do tej nacji politycznej, która próbuje się wszędzie usadowić i wszystko zdominować”.

◆ Już drugi żołnierz armii KRL-D zdezerterował, w ostatnich tygodniach, do Korei Płd. 23-letni kapral Lee Ki-Young przepłynął nocą 600 metrów i o 6. rano zgłosił się na południowokoreański posterunek graniczny.

◆ Organ KC Partii Pracujących Korei „Rodong Sinmun” zamieścił interesujący komentarz o aktualnej sytuacji politycznej na świecie. Dziennik pisze, że „Drogi Towarzysz Kim Dzong Il powiedział: „Imperialiści i ich lokaje podejmują gorączkowe wysiłki, by pchnąć wicher liberalizmu do krajów socjalistycznych, hałaśliwie głosząc, że społeczeństwo kapitalistyczne jest rajem wolności”.

◆ Tajna dyrektywa numer 3 KC Komunistycznej Partii Chin głosi, że trzeba trzymać w tajemnicy liczbę egzekucji i aresztowań, dokonanych w następstwie wydarzeń na Placu Niebiańskiego Spokoju. „Do wiadomości publicznej należy podawać tylko niektóre wyroki, by dać odstrasżający przykład”.

◆ „PZPR uczestniczy w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, ponieważ od zarania powojennej Polski stała się gwarantem istniejącego, korzystnego dla narodu kształtu geograficznego” — oświadczył m. in. w swym telewizyjnym wystąpieniu I sekretarz KC PZPR Mieczysław Rakowski.

◆ W ministerialnych instrukcjach dla dyrektorów szkół i nauczycieli — z lat pięćdziesiątych — czytamy m. in. „Celem i zadaniem szkoły jest wychowanie młodego pokolenia na świadomych i dzielnych obywateli, budowniczych socjalizmu [...] Przez przyswajanie dzieciom wiadomości o ZSRR, jako głównym organizatorze postępowych sił walczących na całym świecie o pokój i socjalizm, szkoła musi dążyć do pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej”. („Polityka” 19. 09.89.)

◆ Halina Bińczak w rozmowie z Lechem Sciborem-Rylskim („Tygodnik Kulturalny” nr 38) o weryfikacji dziennikarzy DTV: „Komisja weryfikacyjna składała się z naczelnego Dziennika, Erazma Fethke, dwóch jego zastępców oraz nie znanego mi pana, który przedstawił się jako członek komitetu zakładowego partii. [...] Pytano mnie na przykład, jaki mam stosunek do SDP, co sądzę o Bratkowskim, a także o to, kto w redakcji o czym rozmawiał; ktoś zapytał nawet o kosztulkę z napisem „Element antysocjalistyczny”, w której kiedyś przyszedł do pracy. Pytano, czy popieram stan wojenny i próbowano mnie przekonać, że jego wprowadzenie ułatwi reformę gospodarczą”.

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Za telewizyjne wydarzenie ubiegłego tygodnia, indagowani przez nas czytelnicy uznali, nieco przewrotnie, Otwarte Studio na temat telewizji.

Marek Siwak, lat 34, nauczyciel, Lublin: — Czemu te Otwarte Studia nadawane są tak późno w nocy? Od razu przeczy to ich „otwartości”. W większości poruszają przecież bardzo istotne dla społeczeństwa problemy. Było parę niewypałów, ale dyskusje o przerywaniu ciąży czy karze śmierci były bardzo ciekawe. Ostatnie, o telewizji, też przykuło moją uwagę. Jaka powinna być telewizja? Ano, panowie, z niewielką tylko dozą polityki. U nas rolę telewizji się demonizuje. Jaki to, u diabła, instrument sprawowania władzy? Na Zachodzie żaden dziennik nie trwa dłużej niż pięćnaście minut. To człowiek wymyślił sobie telewizję dla rozrywki. Po co gołoty położyli na niej łapę? Dlaczego gros ludzi, jeśli tylko ma takie możliwości, ogląda telewizję satelitarną? Skończcie z tym obłędem. Telewizja to domowy przyjaciel, od filmu, rozrywki, dobrego programu naukowego. Panowie z PZPR i Solidarności wynoście się ze studia! Idźcie sobie dogrywać swoje porachunki na ulicy. Dajcie nam święty spokój!

Jadwiga Żółtowska, lat 52, stomatolog, Lublin: — Chcę powiedzieć parę słów o Otwartym Studio na temat telewizji z ostatniego piątku. Taka dyskusja była potrzebna. (Po raz kolejny podziwiam odwagę pana Urbana). Wykazała tylko, że my — Polacy, nie bardzo jesteśmy przygotowani do takich programów „na żywo”. Nie jestem przeciwniczką dopuszczania każdego, ale ci ludzie, którzy znaleźli się w studio ostatnio — mam tu na myśli publiczność — to wielkie nieporozumienie. Jakiś maniak, który spacerował między stolikami jak na tarasie własnego domu, szalony wynalazca, pieniącz, którego poziom intelektualny był grubo poniżej średniej. Nie każdy poważnym ludziom wysłuchiwać idiotyzmów od byle kogo. Może to było śmieszne, ale i wysoce niesmaczne. A jaka telewizja? Po prostu prawdziwa.

Marian Kania, lat 51, adwokat, Lublin: — Pamiętam niegdysiejszą wielką kampanię, by „u nas w Polsce telewizja nie stała się fetyszem, jak na Zachodzie”, by „nie miała wyłączności na kształtowanie ludzkich postaw, zwłaszcza młodzieżowych”. No i co? No i, niestety, stała się. Stała się fetyszem dla władzy, polityków, kaznodziej, „nauczycieli życia”. Wyraźnie było to widać w piątkowym Studio Otwartym. Tymczasem ja chciałbym widzieć telewizję lekką, łatwą i przyjemną, z profesjonalną, obiektywną informacją, z dobrymi filmami i dobrą rozrywką. Czy to dużo? Po co dyskutować na te tematy? Wystarczy pojechać i pooglądać trochę BBC.

OGŁOSZENIA

WYSTROJE wnętrz, szyldy
77-42-72 po 16. 21364/G-2

PIANINO kupię, tel. 264-97.
21229/G

BIURO wynajmu lokali. 380-03.
19256/G-5

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „VENUS”, skr. 27, 59-850 Świeradów Zdrój.

1P-10

KOMUNIKAT

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe informuje, iż ostatnio wprowadzone zmiany cen materiałów i usług wpłynęły na wzrost kosztów wydawania „Relacji”. W tej sytuacji jesteśmy zmuszeni podnieść cenę tygodnika od następnego numeru do 150 złotych. Prenumeratory otrzymywać będą tygodnik po dotychczasowej cenie do końca okresu, na który została przyjęta prenumerata.

„WSPÓLNA PAMIĘĆ POLSKI I LITWY”

Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku, pod patronatem Towarzystwa „Polonia”, jest organizatorem Spotkań z Literaturą Pogranicza Kultury.

Pierwsze Spotkanie z tego cyklu odbędzie się w dniach 23–26 XI br. pod hasłem: „Wspólna pamięć Polski i Litwy”. Idea tej imprezy jest pogłębienie wiedzy o związkach kulturowych pomiędzy narodami Polski i Litwy. W programie przewidziano

seminaria naukowe, dyskusje, prelekcje, wieczory autorskie, zaś w części artystycznej przegląd filmów fabularnych i dokumentalnych, wystawy plastyczne, spektakle teatralne, a także turniej recytatorski i poezji śpiewanej.

Blizszych informacji udziela Wojewódzki Dom Kultury, tel. 41-64-14 oraz Biuro Organizacyjne, tel. 41-38-15, ul. Kilińskiego 8, 15-950 Białystok.

Świat wokół nas

ZNAKOMITY holenderski dziennikarz Peter Brusse, autor słynnej książki „Anglia nie istnieje” opisuje, jak to jego stary nauczyciel angielskiego bronił się przed odwiezieniem Wyspy. „Wcale nie muszę tam jechać — tłumaczył. — Jeśli poznasz ich kulturę i zrozumiesz ich narodowy charakter, rozpoznasz ich wszędzie. Anglik zawsze pozostaje taki sam, bez względu na to, czy przebywa w Afryce czy też w Grenlandii. Jestem tak przesiąknięty angielskością, że Anglię noszę w sobie”.

Profesor miał zapewne rację, choć zrozumienie angielskiego charakteru nie jest rzeczą prostą. Nie jest łatwe rozpoznanie do końca żadnego narodu, a jednak nikt bodaj inny na świecie nie posiada cech równie wyrazistych jak Angliki.

Wiatr toczy po podwórkach z kłosem puste puski po piwie, upiorne pomarańczowe światło wydobywa z mgły pochylone sylwetki nagle pojawiających się ludzi, zakamarki starych, wiktoriańskich domów pełne są niespodzianek i tajemnic, pod naporem burzy gną się parkowe drzewa o zieleni nie spotykanej nigdzie indziej na świecie. Czyż to nie odpowiednia sceneria dla kryminału? Czyż można się dziwić, że to właśnie Anglia wydała Sherlocka Holmesa i że to właśnie tutaj grasował nieuchwytny Jack the Ripper (Kuba Rozpruwacz)? Ale Anglia to także wiara w duchy i kult sportu (około 90 proc. wszystkich dyscyplin sportowych wymyśliłi Angliki), to rozmaite hobby i specyfika patrzenia na życie, to energia i pomysłowość (około 70 proc. wszystkich wynalazków jest dziełem Anglosasów, Anglików i Amerykanów).

Kiedy upadło Imperium, jednym z podstawowych problemów stało się dla Anglików znalezienie godnego miejsca w zupełnie zmienionym świecie. Proces ten wciąż jeszcze trwa. Sprawujący niegdyś kontrolę nad dwiema trzecimi powierzchni globu naród, sam usadowiony na ciasnej wysepce, z trudem uczy się pokory. To jedna z cech równie obcych Anglikom, jak poczucie humoru Niemcom. Często usłyszeć można kierowane pod adresem Anglików głośnie szacunku, nie spotkałem jednak nikogo, kto lubiłby synów Albionu. Czy zakodowany przez wieki syndrom da się przezwyciężyć? Jedyne nadzieję niesie tu

ANGLICY

Wiesław Horabik

pragmatyzm i wysoki stopień ucywilizowania tego kraju. Jest to bowiem kraj, gdzie istnieją najgorsi na świecie kibice piłkarscy, ale także gdzie nie wolno wznieść piotu wyższego niż taki, który pozwala sąsiadowi zajrzeć ze stopni swego domu do naszego ogródka; jest to kraj wysokiej przestępczości, ale także kraj, gdzie słowo obywatela ma wartość notarialnie poświadczonego dokumentu; jest to kraj faszystującego Narodowego Frontu, ale również kraj, gdzie policjant nie nosi broni i wdaje się w przyjacielską pogawędkę z gospodyniami domowymi z okolicy. Jest to kraj, gdzie honor wciąż zachowuje swoją wartość.

Jeśli zaczęł się Anglika o niedotrzymanie sojuszniczych zobowiązań we wrześniu 1939 roku wobec Pol-

ski, nie sięga on po frazeologiczne wybiegi. Nie ma przy tym pretensji, że Anglia nie pomogła Polsce, gnębi go jedynie fakt, że obiecała, iż to uczyni. „To było niegodne” — komentuje się postawę Chamberlaina. Angliki nie odczuwają żywej nienawiści do Niemców, nazistowską politykę wobec okupowanych państw potępiają nie za istnienie obozów koncentracyjnych (sami je zakładali w wojnie burskiej), ale za wsadzanie tam ludzi bez sądu. „To było oburzające” — mówią.

Kiedy w 1973 r. zamordowano prezydenta Allende, premier Wilson otwierał protestacyjną demonstrację.

Nie dlatego, że kochał komunistów, ale dlatego, że Allende był demokratycznie wybranym prezydentem. Kanony brytyjskiej polityki zagranicznej mają tradycję kilkusetletnią, wciąż egzystującą na Wyspie firmy o wiekowej historii, wielu Brytyjczyków rozjeżdża się rokrocznie po świecie, by popatrzeć na lokomotywę parową, tam gdzie ona wciąż egzystuje, w elitarnie szkolone średniej w Eton mali chłopcy chodzą na zajęcia we frakach, angielskie prywatne kluby dobierają swoich członków staranniej niż Izba Lordów, a fakty przerywania działań wojennych dla wypicia tradycyjnej herbaty o piętej są wystarczająco spopularyzowane.

Wielkim atutem, który na tak wiele lat związał Brytyjczyków z premierem Margaret Thatcher był fakt, iż

przywróciła ona swemu społeczeństwu utracone poczucie wartości. Zwycięstwo w wojnie falklandzkiej znaczyło więcej niż tysiące przedwyborczych wieców. Świadomość, że Anglia znów zwycięża, natchnęła naród nowym entuzjazmem. Pełne są angielskie półki sklepowe, urokliwe puby, wspaniały spokój i przychylność gospód i hotelików, ale niedziele są w tym kraju bardziej puste niż w najbardziej zapyziałym zaścianku Polski. Przegrany mecz w ramach eliminacji mistrzostw świata może stanowić narodową tragedię, ale wigilijne koledy brzmią bardziej jak skoczne piosenki dla dzieci. Kudy im tam (z nielicznymi wyjątkami) do nadmuchianych ciepłem muzycznych perełek. Słowianin czuje się w Anglii źle. W kraju absolutnej wolności, Polacy przemycają się chyłkiem ze swoimi obyczajami, zespoły narodowego folkloru unikają publicznych miejsc, słowiańsko brzmiące nazwisko jeśli nie przeszkadza, to na pewno utrudnia karierę.

Angliki często pytają, gdzie leży Polska. I nie są to historyjki z bajki. Ich system wychowania oparty jest na wyłącznym zainteresowaniu sobą. Własną historią, własną geografią, własnym dorobkiem. Ciężko będzie im odeprzeć inwazję napierającej zewsząd, gotowej do zjednoczenia, Europy. Nawet jeśli ich pochłonie, zapewne długo jeszcze z łatwością uda się rozpoznać smukłą angielską sylwetkę pośród ogólnokontynentalnego tłumu.

Czy to prawda o Anglii? To jedynie przyczynek do zadumy nad narodem, który we wszystkich swych niegdysiejszych koloniach cieszył się — o dziwo — wyjątkowymi przywilejami. Czy to przewrotność historii? Nie. To raczej stałość ludzkiego przywiązania do fundamentalnych wartości.

Kubańskie białe kamyki polskiego cukru nie zastąpią

ROLNICY domagają się 14 tysięcy złotych za kwintal buraków cukrowych. Cukrownie godzą się na około cztery tysiące złotych. Czy jest jakaś szansa porozumienia przy tak wielkiej różnicy? Kto ustąpi? Bo ktoś ustąpić musi. Do początku kampanii przetwórczej zostało kilka dni.

Te pytania zadawali sobie przedstawiciele zwaśnionych stron, gdy 12 września zasiadali do drugiej rundy rozmów w świetlicy cukrowni w Krasnymstawie. Pierwsza runda odbyła się 31 sierpnia. Zgodnie z przewidywaniami skończyła się fiaskiem, choć trwała bite osiem godzin.

Podobnie jak poprzednio, po jednej stronie zasiadli emisariusze rolników — czyli przedstawiciele Solidarności RL, kółek i organizacji rolnych oraz Związku Plantatorów Roślin Okopowych. Po drugiej — dyrektorzy 11 zakładów zrzeszonych w przedsiębiorstwie Cukrownie Lubelskie.

Rolnicy mieli zapowiedziane przez ich elektoraty, żeby nie pokazywali się w swoich wsiach, jeżeli zejda poniżej 10 tysięcy złotych za kwintal. Z kolei cukrownicy godzili się teraz dosypać do ceny kwintala tylko wartość dwóch kilogramów pszenicy do, proponowanych 31 sierpnia, 25 kilogramów ziarna.

„Dlaczego pszenicy? — A dlaczego oleju napędowego?” Oto dwa wstępne pytania, którymi bombardowały się obie strony przed podjęciem rozmów o gółych złotych kłach. Otóż dlatego, że podstawową kwestią sporną był przelicznik wartości buraka. Rolnicy żądają parytetu w postaci równowartości 40 litrów oleju napędowego, co po przemnożeniu 40 x 350 zł daje równo 14 tysięcy złotych za kwintal buraków. Natomiast cukrownicy upierają się przy paryecie pszenicy, bo tak jest przyjęte we wszystkich państwach zachodnich. Na to rolnicy: ale tam nie ma monopolisty w postaci Państwowych Zakładów Zbożowych, które dyktują ceny rażąco niskie w stosunku do wszystkich innych towarów, zwłaszcza w stosunku do artykułów produkcyjnych.

Rolnicy za podstawę parytetu olejowego przyjmują rok 1981, kiedy za kwintal buraków można było nabyć 37 litrów oleju napędowego. Był to rok wyjątkowo korzystny dla przelicznika, bo wszystkie „sąsiednie” lata oscylowały wokół 13—14 litrów. Ten fakt staje się kontrargumentem strony

przeciwnej: jeżeli już upieracie się przy ropie, to w takim razie przyjmijmy średnią z ostatnich ośmiu lat.

Zasadniczo jednak cukrownie upierają się przy przeliczniku pszenicznym i analogicznie sięgają do roku 1981. Wtedy cukrownictwo francuskie płaciło równowartość 18 kg pszenicy holenderskie 17, angielskie 25, polskie 23 kg.

Rolnicy nie chcą słyszeć o paryecie pszenicy, a proponowane im 31 sierpnia 25 kilogramów pszenicy odrzucają — jak się to mówi — z hukiem. Z powodów już wymienionych: pszenica jest w Polsce wyjątkowo tania. Obecnie waha się w granicach 16—18 tysięcy złotych, co jest nie do przyję-

cia na tle galopującej inflacji, a zwłaszcza niedawnej istnej eksplozji cen artykułów do produkcji rolnej. Oto najnowszy przykład z 10 września: saletra podrożała trzykrotnie — do 9 tysięcy złotych!

Przed drugą rundą dyrektorzy słodkich fabryk zbierają się w gabinecie dyrektora Baka. Ponieważ nie widzą szansy, aby na razie jedyny przedstawiciel prasy (czyli ja) przysłuchiwał się naradzie przed walką, dowiadują się tego, z czym dyrektorzy przystąpią do drugiej rundy. Dyrektor całego klucza lubelskich zakładów — Stanisław Miedziak informuje, że teleksy i telefony z innych regionów cukrowniczych podają, iż tam uzgodniono wstępnie około 25 kilogramów pszenicy, czyli — w zależności od regionalnych jej cen — lekko ponad 40 tysięcy złotych za tonę buraków. Ponieważ Solidarność w regionie jest silna, jej żądania wręcz niebotyczne, a w ogóle konflikt wybuchł właśnie na Lubelszczyźnie — dyrektor proponuje do proponowanych 31 sierpnia 25 kilogramów dodać jeszcze dwa. Lecz dalej — ani kilograma! Wszystko co powyżej tej liczby, oznaczać będzie drastyczne podrożenie kosztów pro-

dukcyj kilograma cukru w stosunku do kosztów w innych regionach. Jeżeli tamte cukrownie skupią buraki znacznie taniej, rzucą na rynek cukier tańszy od lubelskiego, na skutek czego zakłady lubelskie staną w obliczu bankructwa.

Z tym schodzimy do zakładowej świetlicy. Tu już czekają delegaci rolników, w sumie kilkadziesiąt osób, reprezentujących region od Przemysła po Sokółów Podlaski.

ZAGAJA dyrektor Miedziak. Podnosi argumenty sprzed dwóch tygodni. Cukrownie nie mogą przyjąć parytetu oleju, a już w żadnym wypadku 40 litrów za kwintal. Przypomina, że 25 kilogramów pszenicy to

okolo czterech tysięcy złotych za kwintal buraków, czyli niemal czterokrotnie więcej niż w ubiegłym roku! Wszystko co powyżej, jest ekonomicznie i społecznie nierealne: dając 14 tysięcy za kwintal buraków spowodują, że na półce sklepowej cena cukru wyniesie około 4 tysiące złotych za kilogram, co jest absurdem cenowym nawet w perspektywie dotychczasowego tempa inflacji! Dyrektor informuje zebranych, że inne regiony już przyjęły wstępne uzgodnienia na 40 tysięcy złotych za tonę, choć tam przewiduje się plony znacznie niższe niż w regionie lubelskim, ale za to że znacznie wyższą niż tu zawartością cukru. Zwraca też uwagę, że plantatorzy buraków cukrowych stanowią zaledwie 10 proc. ogółu rolników. Jeżeli otrzymają za hektar buraków ponad cztery miliony złotych, to co powiedzą na to rolnicy gospodarujący na glebach 4—6 klasy?

Rozpoczyna się dyskusja, czy też raczej ostry spór. Rolnicy są dobrze przygotowani. Na argument o tych rzekomych czterech milionach ktoś cytuje najnowsze ustalenia Instytutu Hodowli Buraka Cukrowego: koszt uprawy kwintala buraków wyniesie obecnie 33 tysiące złotych. Ta liczba

sprawia, że zupełnie nie do przyjęcia jest parytet w granicach 25 kilogramów pszenicy przy obecnej, nędznej, krzywdzącej rolnika cenie!

Sypią się następne argumenty, wstają kolejni mówcy.

— Kilka lat temu mleko kosztowało 7 kilogramów pszenicy, teraz 14... — Przed wojną cukier kosztował jeden złoty, kilogram dobrej kiełbasy 1,80 złote. Proszę bardzo: wyrównajcie do kiełbasy!...

— Dziwnym trafem wszystkie cukrownie w kraju wynegocjowały z rolnikami równo po 25 kilogramów pszenicy. Jeżeli to prawda, to nie były to negocjacje tylko zmonopolizowane!...

— Pieniądze za buraki otrzymane jesienią, muszą nam wystarczyć do października przyszłego roku. Co za rok

za nie kupię, jak wszystko znów podrożeje trzy — cztery razy? Wy bierzcie dyrektorskie pensje co miesiąc, my za swoją pracę raz na rok. Zagwarantujcie nam, że przez rok nie podrożeje, to my zgodzimy się na dzisiejszą cenę 25 kilogramów pszenicy!

— W Piotrkowie Trybunalskim cukier kosztuje 1100 złotych, a u nas 500. I ludzie płacą, bo muszą. Monopol zrobi wszystko co zechce, gdy wyrwie od nas buraki!

— Dobra! Niech nam pan zapłaci cukrem. Sami sobie sprzedamy. To będzie najlepsza lokata. Ile cukru pan nam proponuje za metr buraków?

— Pan się szczyty tym, że pobudowaliście tyle cukrowni. To z naszej krzywdy!...

Dyrektor Miedziak: — Zapłacimy po cenie pszenicy z 30 września. Może będzie do tego czasu wyższa... — Niech nam pan zapłaci cukrem: 6 kilo za metr buraków i będzie zgoda.

Dyrektor: — Nie mogę. Cukier jest produktem centralnie rozdzielanym.

— Niech już będzie relacja do pszenicy. Ale 50 kilo, a nie 25.

Dyrektor: — Nie mogę. Cukier jest produktem centralnie rozdzielanym.

— Niech już będzie relacja do pszenicy. Ale 50 kilo, a nie 25.

Dyrektor: — Nie mogę. Cukier jest produktem centralnie rozdzielanym.

— Niech już będzie relacja do pszenicy. Ale 50 kilo, a nie 25.

Dokończenie na str. 14

WYGRAĆ PRZEGRANE

Henryk Pająk

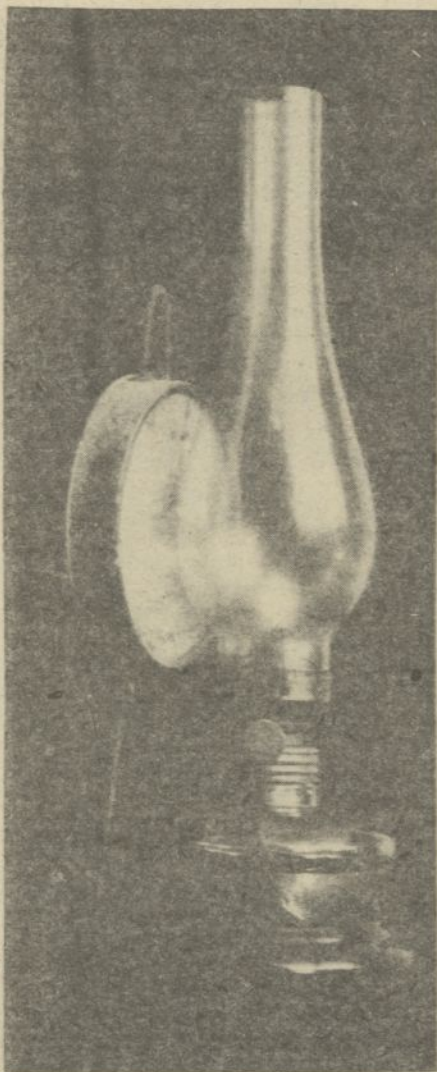
cia na tle galopującej inflacji, a zwłaszcza niedawnej istnej eksplozji cen artykułów do produkcji rolnej. Oto najnowszy przykład z 10 września: saletra podrożała trzykrotnie — do 9 tysięcy złotych!

Przed drugą rundą dyrektorzy słodkich fabryk zbierają się w gabinecie dyrektora Baka. Ponieważ nie widzą szansy, aby na razie jedyny przedstawiciel prasy (czyli ja) przysłuchiwał się naradzie przed walką, dowiadują się tego, z czym dyrektorzy przystąpią do drugiej rundy. Dyrektor całego klucza lubelskich zakładów — Stanisław Miedziak informuje, że teleksy i telefony z innych regionów cukrowniczych podają, iż tam uzgodniono wstępnie około 25 kilogramów pszenicy, czyli — w zależności od regionalnych jej cen — lekko ponad 40 tysięcy złotych za tonę buraków. Ponieważ Solidarność w regionie jest silna, jej żądania wręcz niebotyczne, a w ogóle konflikt wybuchł właśnie na Lubelszczyźnie — dyrektor proponuje do proponowanych 31 sierpnia 25 kilogramów dodać jeszcze dwa. Lecz dalej — ani kilograma! Wszystko co powyżej tej liczby, oznaczać będzie drastyczne podrożenie kosztów pro-

dukcyj kilograma cukru w stosunku do kosztów w innych regionach. Jeżeli tamte cukrownie skupią buraki znacznie taniej, rzucą na rynek cukier tańszy od lubelskiego, na skutek czego zakłady lubelskie staną w obliczu bankructwa.

Z tym schodzimy do zakładowej świetlicy. Tu już czekają delegaci rolników, w sumie kilkadziesiąt osób, reprezentujących region od Przemysła po Sokółów Podlaski.

ZAGAJA dyrektor Miedziak. Podnosi argumenty sprzed dwóch tygodni. Cukrownie nie mogą przyjąć parytetu oleju, a już w żadnym wypadku 40 litrów za kwintal. Przypomina, że 25 kilogramów pszenicy to



Fot. Waldemar Bógdziej

TAKA przezroczyta bańka, co to świeci nie wiedzieć czemu, Oj! To dopiero wygoda. Bo i oliwy nie lejesz ni naftę, a świeci. Wystarczy, naciśniesz mały guziczek i zaraz robi się widno w całej izbie. Jakby kto słońce do chalupy wprowadził. A zechcesz w nocy za potrzebą do sieni wyjść, to już nie szukasz po omacku wiadra, coś go z wieczora narychtował. Bańka świeci i żaden wiatrzyśko jej nie zamuchnie. Tak zmyślnie zrobiona.

Skąd Maria o tym wie? Jak to skąd? Bo to mało razy była u córki czy u syna, żeby się rozpatrzeć, co i jak z tym światłem. Widziała przecież. Nie żadne tam oszukaństwo, a szczerą prawdą. I jeszcze telewizor widziała. Ale od tego patrzenia to tylko oczy boją. Miga to i miga jak zwariowane, a pożytku tyle, co kot napłakał. Szkoda po próżnicy ślepić.

Jak we wojnę, w tę pierwszą granat przy Marii rozerwał, to też tak przed oczami migalo. Później ją matka z godzinę bez mała w rzecze cuciła, bo całkiem siły jej odjęło. A wojska tyle nabitego leżało jak nie przymierzając snopków na polu po żniwach. O Jezu słodki! Co to za czasy były. Jeszcze teraz, jak się Marii nafta skończy, a sen-mara przyjdzie, to pierzyna ciąży jak ta ziemia, co ją od granatu przysypało. Budzi się wtedy złana potem i szuka w komodzie świeczki, żeby chociaż na jedną zdrową zapalić. A strach przejdzie, to i zgasi, bo o ogień w izbie nietrudno. Chalupa jeszcze wprawdzie solidna, ale drewniana i prawie na odludziu stoi. Niby Bełżyce, a wyjdiesz na próg, to nie tylko lasy i pola widać. Splonęłoby wszystko do szczytu. A tak, drewniak nie drewniak, wytrzyma jeszcze i kościom złożenie kiedyś da.

Od śmierci męża Maria mieszka sama. Dzieci pożyły się, powychodziły za mąż i poszły na swoje. Po chudobie pozostał kawałek walącej się ni to szopy, ni obory, gdzie kąś znalazły ku-

LAMPA ALADYNA

Zbigniew Dzięciołek

ry i laciata paina. Maria narwała go Kulką. Ze taki mały i jak się w kłębek zwinie — od kulki nie odróżnisz. Dobry z niego psiaś. Na przybie siędziesz — przyleci. Łeb do nóg przytuli, i tak w oczy patrzy, jakby całe twoje życie chciał wyczytać. Nie to co kot. Zawsze go gdzieś po polu za myszami nosi. Tylko na wieczór ściaga upomnieć się o swoją miszkę mleka. Cygan, nie kot.

Gdyby Maria miała siostrę, o — wtedy wszystko wyglądałoby inaczej. Nie siedziałaby sama w domu jak ten koleś w płocie. Niby — brat, ale to chłop przecież. Przyszedł czasami, posiedział pięć minut i poszedł. Zeby porozmawiać, tak od serca — nigdy. Zawsze się gdzieś śpieszył, zawsze gonił od siostry, a i białowa krzywym okiem patrzyła na te odwiedziny. Zmarło mu się cztery lata temu. Niech tam. Było — minęło. Świeć Panie nad jego duszą. Już on dawno na sądzie Piotrowym jest i ludziom nic do niego. Teraz ona odwiedza go co roku na Wszystkich Świętych, jak po mszy z kościoła wyjdzie.

Z tej samotności Maria czytała zaczęła. Nie na chybcika. Powolutku, bo

oczy już nie takie jak u młodki, a i nauki w szkole ledwo liźnęła. Pięć zim wszystkiego było. Ot, żeby czytać i pisać mogła. To przyjdzie nieraz zimowy wieczór, Maria knot podkrepi, lampę ze ściany zdejmie, na stole przy łóżku postawi i czyta. Najbardziej „Krzyżaków” Sienkiewicza. Jak ten Zbyszko z Danuśką się kochali i później jak ona umarła. Trzy razy czytała. A kiedyś zięć, co w kinie pracował, bilety na film załatwił i wszystko dokumentnie obejrzała. Jurand jakby mniejszy się wydał, bo w książce to taki wielkolud był i tyfu Krzyżaków natłukł, zanim mu język obcieli. Inaczej go sobie wyobrażała.

Przy „Chłopach” znowu — jakby u ojców w domu na powrót się znalazła. Bywało, schodziły się wieczorami kobiety — po pięć, po sześć — na darcie pierza. Siadały w kuchni bliżej komina, gdzie paliła się smolna szcra albo kawałek smolny zatopionej w oliwie, i darty te pióra, co je matka latem z gęsi zbierała. Maria wciśkała się wtedy w kąć izby i słuchała, jak kobiety o wiejskich sprawach plotkowały. Gdzie krowa się ocieliła, kto ziemi dokupił, kogo pobili na ostatniej zabawie, a czyje to zapowiedzi ksiądz

Dokończenie ze str. 1

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowitem, jak pies od jela, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturmem jak fortece.

Nielatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatrasowane od wewnątrz skrzyniami, szafami i czym się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią. [..]

Chalupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły jak lwice, odpięrając szturm za szturmem; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczerkanie psów i huk belek, które wybijano drzewi, niby taranami, że rodziływały się w drzazgi. [..]

W końcu zdobyto parę chalup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kurniny i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już sękami i pasurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpacz, pijane wulka, podarte, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem meństwem, niby wilczyce opadnięte przez rozjuszone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzył dymem jak lis, próbowali nawet wyciągać je bosakami, ale nic nie pomogło.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i na razie zapanował spokój.

Niedługo potem, w początkach kwietnia, z nasłaniem świtu wojsko znów wkroczyło do Hrudu. Strach tym razem był jeszcze większy. Nadeszły sądne dni.

Reymont tak pisze o tych wydarzeniach:

„Wojsko zajęło wieś i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiała się ani jedna.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przestrzegając dom po domu. Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca i wojsko rozłożyło się po chalupach.

Dopiero po śladach szturmu, gdzie się schroniły, otoczyli więc las patro-

lami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grządy! — pokpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły. [..]

Bór stał czarny, ogromny, nieogłębiony, a pod jego wzniesłymi ścianami błyskały gęsto naszone bagnety. [..]

Przeszedł drugi już tydzień, nie powróciły!

Dnie szły niewypowiedzianie przykre, wióły się nudnie i ociężale, zaczęły się jakby palone żalozą brzy. Pora była roboty wiosennych, pola krzyczały o plugi, o ziarno, ale miał kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo nocce schodziły na rozgorączkowanym oczekiwaniu, bo co tylko wiatr tknął okien, to już się zdawało katdemu, że się ktoś pod ścianami przemyska, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły. [..]

Przeszedł czwarty tydzień, nie powróciły. [..]

Przeszedł piąty tydzień — nie powracali.

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzuciło się prosto na bagnety, aby się przedostać do lasów i raczej umrzeć, niżli dłużej znieść to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej okolicy i wracali jeszcze bardziej smutni i zdrewniali.

Przeszedł szósty tydzień — nie powróciły!

Wreszcie i wojsko miało dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrudu.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się na przelaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębin zaczęły się pokazywać jakieś mury; szły szarżone, o kijach, prawie nagie, wynudniałe, rozkudłone, szerniałe, podobne do szkieletów, ale radosne jak słońce, jak wiosna, triumfujące i jak samo życie, niezwykłe!..”

PONAD WIEK PÓŹNIEJ

Do Hrudu, leżącego parę kilometrów za Białą Podlaską, przyjechałem, gdy słońce nie zdążyło jeszcze wzejść wysoko na niebo. Szedłem piaskistą drogą; pewnie tą samą, którą w 1900 roku jechał Władysław Reymont.

Rozglądałem się. Na horyzoncie ani śladu boru, w którym kryły się kobie-

ty z dziećmi. Nie ma również starych chalup. Jedna stodola, z zapadniętym dachem i omieszalnymi deskami po bokach, może pamiętać co najwyżej pierwszą wojnę światową.

Przy drodze, którą szedłem, rosły wiązy. Kiedyś, gdy pop chciał zajmować cerkiewkę, chłopci w tym właśnie miejscu zbierali się z kijami i zastawiali drogę. Pewnego razu, gdy stali tak z kijami i grabiami przy wiązach, zastakowała ich koczarka sotoja. Krew się bryzgała na drzewa. Nie ma już tych drzew. Jakies dziesięć lat temu gospodarz, budujący się obok, pościł wiązy, bo mu przeszkadzały.

Dawna cerkiew, a dziś kościół parafialny, to mały budynek niewidoczny zza drzew i okolicznych domostw. Stoi odwrócony tyłem do wsi, a za nim już tylko rozległe pola. Kościół wewnątrz jest także skromny i niepozorny. Po niedawnym remoncie zyskał sosnową boazerię na ścianach, a zdobną go religijne obrazy i procesyjne chorągwie. Dookoła kryje widok świątyni o najdrobniejsze detale wyposażenia świątyni.

Moje nadzieje na odnalezienie przedmiotów z minionych lat rozwił ksiądz proboszcz Eugeniusz Pepa, mężczyzna w sile wieku, trochę zaskoczony pytaniem o umiły.

— Oto, co nam pozostało z tamtych czasów — powiedział, wskazując na balustradę niskiego chóru. Wisiał tam szeroki, skromnie oprawiony obraz, przedstawiający wyblakłymi kolorami postać Chrystusa i kilku innych osób. — Wiele rzeczy dawno temu umyślnie zniszczono, inne nie przetrwały i rozpadły się ze starości.

Ksiądz Pepa jest w tej parafii za ledwie rok.

— Niewiele wiem o jej początkach, istnieje od 1930 roku — mówi. — Teraz mam 1200 parafian, a w samym Hrudzie jest ponad sto domostw. Żyje we wsi taki człowiek, który może coś powiedzieć. Niech pan wstąpi pod numer dziesiąty, do Stanisława Szuckiego.

Pana Stanisława zastałem w malutkim, zagrącznym pokoiku. Mieszka tu kątem u bratanka. Jego matka w szóstem tygodniu życia była wywieziona do lasu i tam ukrywana przed popem i chłozem w cerkwi. Ojciec codziennie do niej jeździł, wozil jedzenie. Babka pana Stanisława dożyła sędziwych lat. Żyła jeszcze w czasach, gdy na wsi od-

rabiano pańszczyznę. Przed cudownym obrazem w Czerlochowie była ponad trzydzieści razy.

Stanisław Szucki ma dzisiaj 78 lat. Jego brat, Bronisław, więcej mógł pamiętać z unickich czasów, bo był starszy o 8 lat i znał te czasy nie tylko z opowiadań. Ale spóźniłem się. Bronisław zmarł w czerwcem tego roku.

— Pamiętam — mówi Stanisław — jak po I wojnie ludzie mówili, że cerkiew to nie kościół i robili z nią, co im się tylko podobało. Mój ojciec na przykład składował w niej zboże. Inni chłopcy młócili tam cepami, bo była twarda podłoga, a i miejaca było więcej jak w stodole. Stała też tam sieczkarnia, rinełi sieczkę, trzymali słomę. Nie starali się nawet uszanować znajdujących się tam prawosławnych szat liturgicznych, ksiąg i ikon. Czemu ja taki głupi był, trzeba było to przechować. Dnia byłoby to wiele warte. A tak? Poszło na zmarnowanie.

UNICI

— W 1930 roku — wspomina dalej pan Szucki — za sprawą księdza parafiala Ludwika Romanowskiego z Białej Podlaskiej powstała tu parafia. Chłopi jeździli parę razy do niego, prosili, na legali. Ksiądz wreszcie przyjechał, obejrzał i zaczął sam wszystko załatwiać. Był taki ceniony we wsi gospodarz, Jakub się nazywał, przez cały czas chodził z haską, raz z księdzem dostawał tych resztek cerkwi, co zostały po prawosławiu. „Jakubku — rzekł do niego dobrodzieju — rozbejrą cerkiewkę i na kadzenie pozwól dać, bo widzisz — że próchno”. A ten odpowiedział, że nie, że ludzie pomogą i wyremontują budynek. Będzie kościół, jak się patrzy. Każdy z gospodarzy dał po trochu drzewa, bo ziemi po kawałku lasu na własność. Każdy pomagał i pracował jak umiał. Dziędzic z pobliskiej Rozkoszy, z tej, gdzie dziś znajduje się PGR, dał najwięcej materiału. Aleksander Karaki się nazywał, a tonaty był ze szlachcianką z bardzo religijnego i znanego rodu Staroskich. To dzięki nim mogli ten kościółek po-

w niedzielę z ambony ogłaszał. Przez kilka tygodni od chałupy do chałupy chodzili, zanim w workach same palki po piórach nie zostały.

Takie jej czytanie bywa. Do dziesiątej, do jedenastej, aż ziąb przenikający a dokuczliwy nie przerwie. Żal później i nafty z wielkim trudem zdobytej. Bo przez te książki niejedną zimową wieczór po ciemku przesiadziała, wpatrując się w kuchenne klepisko z ubitej giiny.

Może całe życie Marii inaczej by wyglądało, gdyby ojca w tej Ameryce całkiem nie otumanili. Dzieckiem była, jak biedny nie wytrzymał i przez ocean za chlebem się puścił. Pięć lat te dolary na ziemię zbierał. Jak Polska w 1918 roku powstawała — wrócił. I po co on głupi wracał? Czy źle mu tam było? Głódny przecież nie chodził, a i grosza nieco odkładał. Nie mógł rodziny do siebie ściągnąć? Na ludzi by wyszli, nie na dziadów, co przy lampie naftowej wieczerają.

Nadojadło Marii to życie bez światła w samotności. Dziewiąty krzyż zaczęła, a zdrowie przecież nie wczorajsze. Była grypa może do łózka przykuć. A jakże tu chorować, kiedy człowiek sam w domu zostanie z Kulką i tuzinem czubatek? No jak? Ano nijak. Żeby tam nie wiem jakie chorobsko pchało się do drzwi. Nijak. Bo za próg wpuścisz tak już koniec. Tylko leżeć przyjdzie i zmiłowania Boskiego czekać.

Po prawdzie zajrzy czasami córka, wnuk wody ze studni przyniosą, drwa narąbia, ale pójdą. Każdy ma swoje życie. Oni swoje — Maria swoje. Od wschodu do zachodu słońca mierzone, że i zegara nie potrzeba. Bo i po co? Słońce samo sobie z czasem poradzi i człowiekowi godziny wyliczy. I Maria o tym dobrze wie. Ledwo świt do okien zajrzy, a ona już po izbie się krząta, ogień pod blachą rozpala, jedzenie stworzeniu i sobie szykuje. Nie

za wiele. Ot, żeby na jeden raz starczyło. Zostanie — to i zapusze się w kuchennej duchocie. A już latem takie mleko i pół dnia na komodzie nie postoi. Skifnie.

Oszczędnie trzeba gospodarzyć, a pa-trzeć, żeby czasem co na zmarnowanie nie poszło. Bo lodówki nie ma, jakie po ludziach stoją. I najmniejszego kawałka sera nie schowa. Zeschnie się na wiór, spleśnieje do szczytu. Szkoda na darmo kupować. Do sklepu smażdł drogi, a i pieniądze nie manna przecieci — z nieba nie leca. Renty nie ma, ziemia między dzieci rozdana. Grosza tyle jest, co które z nich da, albo z gminy kapnie.

Pożniada Maria, kuchnię zamiecie, to bywa do prasowania siadnie, żeby ognia pod kuchnią po próchnicy nie palił. Przyniesie z sieni żelazko — nieboszczyka męża przedwojenny zakup na jarmarku — wieko podnieknie i drzewnych węgli przygarść do łożka wrzuci. A dojdzie do gorącości — prasuje. Poszwy, poszwyki, spódnice i co tam jeszcze w debowej szafie naukskładane. Jak węgle czarń obieknie, to machać w te i we w te musi. Powietrze, co przez umyślnie dziury do łożka wiatuje, na powrót je roziaży. I tak w koło Macieju. Ręka nieraz od prasowania mało nie odpadnie, zanim się człowiek ze wszystkim obrobi.

Innym razem, przy słonecznym dniu, pranie sobie na podwórzu rozłoży. Szare mydło z okapu ściągnie, białą z rozcieńczonym ługiem koło studni ustawi i pierze. Raz za razem pocierając mydłem bieliznę rzuconą na tarę. Tara dobra, przedwojenna, ale gdzie jej tam równać się z pralką. Choćby najgorzej.

Takie jej pranie i prasowanie bywa.

Jak Maria była młoda, wydawało jej się, że dzieci wychować musi, a później już tylko pojednania Boskiego wyglądać. Wyszło inaczej. Mąż umarł

na raka, najstarszego syna zdążyła pochować, a o niej jakby w niebie zapomnieli. Że i poniektóre sąsiadki dopytują się czasami, ile jeszcze będzie chodziła. Jakby miała wiedzieć. Co komu przeznaczona, to i będzie. Człowiek przecież nie wieczny i na każdego przyjdzie kolej. Wypalił się w nim wszystko, jak w tej lampie, co wisi na ścianie w kuchni, i zgaśnie. Widać na Marię jeszcze nie czas, żeby po księdza z Panem Bogiem posyłać. Sama, kiedy przy lepszym zdrowiu jest, do kościoła na sumę się wybierze i pomodli. Spokojniejsza jakaś wtedy do domu wraca. I ciemności w izbie jakby bardziej swojsko wyglądały.

Czasami tylko coś tak za serce szarpnie, kiedy przypomni sobie, że u drugich pralki mają, lodówki pokupił, a światło z przeproszeniem i w wychodku świeca. Chałupa w takich razach nie lepsza od kraciej nory się widzi. Nie życie to, a udręka, co i normalnemu człowiekowi trudno wyrozumieć. Bo jakże bez światła wiecznie siedzieć, nafty skąpić i za świeczką w potrzebie się rozglądać?

Maria nie ma pretensji do świata i nawet Amerykę ojca coraz rzadziej wspomina. Swoje przeszła, a widział tak już pisane, że kto na biednego stworzony, ten biednym będzie. Tylko tego światła chciałaby doczekać. Żeby w obu izbach iyrandole wisiły. Jak u ludzi, szklane, we wzorki i koniecznie na cztery żarówki. Wiedzialaby wtedy, że żyje. I księdza może by przyjął po koleżnie jak się patrzy i modlitwę wieczorną do Najświętszej Pannyki zmówić, nie skąpiąc światła. Jak u ludzi.

Kiedy Ignacy Łukasiewicz skonstruował lampę naftową, Marii Plewikowej nie było jeszcze na świecie. Lwowski aptekarz zmarł w 1822 roku. W trzy lata po tym, jak Edison wynalazł żarówkę. Minęło sto lat.

LISTY

Pisać o „białych plamach”

Przypadkowo kupiłem wasz tygodnik i od tego czasu stałem się waszym stałym czytelnikiem. Poniżej cenę wasz, a raczej nasz tygodnik, porównuję sobie na kilka uwag. W tak dobrym i poruszającym poważnie problemy tygodniku szkoda jednak strony na program TV, który i tak niczego nie mówi, a który zamieszczają wszystkie dzienniki. Proponowałbym przeznaczyć tę stronę dla wypowiedzi czytelników. Każda partia, ugrupowanie ma swoją prasę, a cała ogromna rzesza społeczeństwa nie należącą widzieć nie ma gdzie się wypowiedzieć i ta strona byłaby właśnie ich trybuną. Naturalnie za treść tę odpowiedzialni by piszący, a nie redakcja.

Mnie osobliwie wydaje się, że w tak małym tygodniku za dużo zamieszczacie opowiadań („Z biegiem Bugu”, „Notatnik angielski”, „Fizyk w Gandawie”), za długo ciągnie się polemika T. Kwistkowskiego. Syjenny w ważnym okresie i jest taki czas, że trzeba dużo pisać o „białych plamach”; nie wiem, dlaczego „białych”, kiedy one są różowe od przelanej niewinnej krwi. Pisać o Polakach w ZSRR i walczyć piórem o przeobrażenia demokratyczne kraju, jak też o pociągnięcia do odpowiedzialności własnych zbrodniarzy, którzy mordowali najlepszych patriotów.

Proszę mi nie brać za złe tych uwag, ale cenię was i chciałbym, by jeszcze lepszym było to pismo.

Michał Jakubowicz
Ropienka — Bieszczady

stawić na sowo, a nawet dobudować trochę.

Ksiądz Bogusz, który był w Hrudach proboszczem przez sześć lat, przebudował cerkiew nie do poznania. Zlikwidował bizantyjskie kopuły na dachu, zastępując je strzelistymi wieżyczkami z katolickim krzyżem na wierzchu. W szczycie kościoła, od wschodu, namalowany został przez wędrownego malarza wielki obraz zwiesławienia Najświętszej Marii Panny (zamalowany teraz na dobre). Przebudowano wszystko, dokładnie. Porocierano w ten sposób ostatnie ślady mianawidzonego prawosławia i... własnej przeszłości.

Stary Panasiuk, który mieszkał kiedyś w Hrudzie, lubił opowiadać historię wiele mówiącą o tutejszych ludziach.

Jedną z znaczących uroczystości prawosławnych jest obrzęd święcenia wody. Tak jak żądają katolicy po-

pamięci tego polityka wyrzute są słowa: „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, ale tkwi w jej istocie. Usiłowanie oddzielenia katolicyzmu od polskości jest niszczeniem samej istoty narodu”.

Te słowa wystarczająco tłumaczą ludzi Podlasia. Oczywiście „tamtych” ludzi, bo dziś i czasy nie te, i wiara słabsza, choć wyznawców więcej.

Hrud to nie jedyny obraz ilustrujący tenże Romana Dmowskiego. W czasie podróży z 1900 roku, a potem w swoim reportażu „Z ziem chełmskiej” widział Reymont i opisywał także inne miejsca i wydarzenia związane z u-nicką wiarą.

W Kłodzku Małej, gdzie mieszkała rodzina Józefa Koniuszewskiego, o którym tak gorąco i s pełnym podziwem pisał Władysław Reymont, stoi dziś kamienny obelisk.

Koniuszewskim urodziło się kolejne dziecko. Rodzice wytrwale bronili go

PODLASCY

święcą wibną pola i uprawy, tak kiedyś pop wychodził z cerkwi i świecił płynące w najbliższej okolicy rzeki, stawy i jeziora. W Hrudzie nawet marnego strumyka nie ma, a co dopiero większej wody. Pop szedł więc po wsi, od chałupy do chałupy, zatrzymywał się przy studniach i tam świecił wodę swoim obyczajem.

Chłopi, którzy widzieli te obrządkie, a do prawosławia się nie poczuli, uznali, że woda w ich studniach została skażona. Chwycili więc za wiadra i dalej ją wylewać ze studzien. Woda płynęła wiejską drogą niczym górski potok.

— Pewnie, że to była głupota — mówi pan Stanisław — ale ludzie czuli się Polakami i katolikami, a że lud prosty, to tak rozumował: „pop to wróg, bo ruski”, a prawosławie oznaczało innego Boga, niż ten, w którego wierzyli i do którego modlili się po domach.

Wspomina pan Stanisław Romana Dmowskiego. Na pamiątkowej tablicy w warszawskiej katedrze poświęconej

przed chrztem w cerkwi, choć nąkhaniano i zmuszano ich do oddania chłopca popu na różne sposoby. Więziono Koniuszewskiego, nakładano coraz częstsze i uciążliwsze kary pieniężne. Miejscowi strażnicy i wójt nąchodzili ich dom raz po raz. Wreszcie, gdy w oborze zrobiło się już pusto, izby w domu były gołe od mebli, a do ust nie było co włożyć, Józef Koniuszewski zdecydował się na krok rozpaczyliwy: wszedł pewnego razu z żoną i dziećmi do stodoby i tam spalili się żywcem.

W innej miejscowości, w Pratułnie, jeszcze przed wojną usypany został koło kościoła wysoki kopiec. Miał on upamiętnić pomordowanych tu za wiarę chłopów, którzy odważyli się przeciwstawić woli rosyjskiego zaborcy.

Jeszcze inne wydarzenia, o których pisał Reymont, związane były z misjami, jakie katolicycy księża prowadzili w lasach i na bagniskach koło miejscowości Kalembrady. Tu również nieszczęście, niczym straszliwe przeznaczenie, dopadło unickich wyznawców



Hrud — polna droga przez wieś w kierunku kościoła.

Fot. Marek Podgajny

wiary. Klekka mówi, że stało się tak na sprawę kłótny raczonej przez carskich strażników, którzy potopili się w mokradłach, tropiąc modlących się w ukryciu unitów.

W czasie okupacji hitlerowskiej szalejący w okolicy tyfus zdiesiątkował resztkę tych, którzy przetrwali prześladowania religijne i doczekali nowej Rzeczypospolitej. Jednego tylko dnia przed ołtarzem w miejscowym kościele stało 18 lub 20 trumien.

Z Hrudem wiąże się jeszcze jeden wątek z Reymontowskiego opowiadania.

We wsi mieszkała niejaka Apolonia Szucka. Jej męża Moskale wywieźli w głąb Rosji, więc sama opiekowała się swym czteroletnim Jasiem. Tak jak wszystkie kobiety z Hrudu, ukrywała go przez 8 tygodni w borze, ale gdy wróciła z nim do domu, strażnicy wykradli jej dziecko i oddali do cerkwi, na chrzest.

— Zbieżność naszych narwisł jest przypadkowa. Pamiętam ją, starą kobietę, obłąkaną i szaloną. Snuła się jak upiór po opłotkach i za stodolami nąszej wioski — wspomina Stanisław Szucki. — Po tym, jak jej porwano syna do cerkwi, nie przyjęła go już

do domu. Mówiła, że nie ma syna. Zdziczyła do końca, wcale nie rozmawiała z ludźmi, nienormalna była do samej śmierci. A dożyła lat 107. Pochowano ją u nas na cmentarzu.

◆ Czas ulgi, jak nastąpił po ukazie tolerancyjnym w 1865 roku, nie był trwały. Kiedy Władysław Reymont podróżywał po Podlasiu i ziemi chełmskiej, mówiło się o planach włączenia tych ziem w granice rosyjskiego cesarstwa, by rozstrzygnąć w ten sposób sprawę unitów i zapobiec ich masowemu przechodzeniu do kościoła katolickiego.

W trzy lata po wycięciu pisarza carska Duma uchwaliła dekret, na mocy którego wydziedziczo gubernię chełmską z osobną diecezją i wcielono ją do Rosji. Ten powrót do starego porządku nie trwał długo. Parę lat potem ród Romanowów i dawna Rosja padła. Był rok 1917.

Dziś na Podlasiu niewielu o unitach pamięta. W Lublinie jest wprowadzić ulica nosząca ich nazwę, ale kto z nas mógłby ulicę Unicką skojarzyć z tamtymi ludźmi?

Marek Podgajny

Gorące Wilno

„NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!”

Henryk Makarski

30 MINUT po polsku w ciągu tygodnia litewskiej TV i 210 minut drugiego programu radiowego to kropla w morzu — przynajmniej zgodnie z czytelnicy „Czerwonego Sztandaru”, ale zauważają też: „Chcąc rozmawiać z gospodarzem domu o różnych swoich kłopotach i być zrozumianymi, musimy rozmawiać jego językiem. Przecież już Goethe powiedział: »Ilu językami władasz, tyle razy jesteś człowiekiem«”.

Wspominają przy okazji, jak to było w roku 1939, kiedy Wilno zostało przekazane Litwie. Kto chciał się zatrudnić w urzędzie musiał opanować język litewski w ciągu 3 miesięcy, a nie 2 lat jak dziś. Pojawiają się i takie pytania: „Czy my, Polacy Wileńszczyzny, żądający, by szanowano naszą godność narodową i obywatelską, sami o tę godność dbamy? Czy zawsze potrafimy szanować godność narodową innych ludzi? Bo wywieszanie podczas wieców biało-czerwonych sztandarów z godłem państwowym PRL i śpiewanie polskiego hymnu wygląda na manifestację, jest nietaktem w stosunku do Litwinów, choć wierzę, że ludzie po prostu nie odróżniają symboli narodowych od państwowych... Ostatnio jesteśmy świadkami wysłanych z palca oskarżeń pod adresem naszej gazety. Zdziwiamy nas cynizm ludzi, którzy odważyli się rozpowszechniać takie poglądy. Nienawiść ekstremalnych elementów, które nas obrażają, robi złą przysługę Litwinom. Owszem, Litwini mają prawo uważać, że zajęcie Wilna przez gen. Żeligowskiego w roku 1920 było aktem bezprawia i przemocy wobec Litwy, ale zbyt często te stare żale i urazy historyczne przenoszone są na realia dzisiejsze, co jest wątpliwym fundamentem, na którym można by budować zgodę, porozumienie i przyjaźń...”

„Polacy nie nie są winni, podobnie jak nie są winni i Litwini. Na Litwie wytworzyła się po prostu określona sytuacja, sprzyjająca wzajemnym animozjom. Jest duża enklawa polska, której istnienie budzi niepokój Litwinów. Pamiętajmy, że Litwini to mały naród, który przeszedł wiele, nabawił się przy tym licznych kompleksów. Obecnie mówi się wprost, że stał na brzegu przepaści, groziła temu narodowi likwidacja. Czują się więc zagrożeni przez nas. W końcu dominacja kulturowa, cywilizacyjna i polityczna Polski była ongiś faktem bezspornym...”

Piszą i Litwini: „Nie powołujemy się na przykłady, lecz samą stałmy się przykładem! Im bardziej będziemy egoistyczni, to tym bardziej inni będą ostrożnie patrzyli na nas, będą żądać dla siebie wszelkich formalnych gwarancji, a wóz nie ruszy z miejsca... Jeśli chodzi o przynależność litewskiej prowincji kościelnej, tylko niewdzięczne dzieci mogą podnosić głos przeciwko swemu ojcu chrzestnemu. Przecież chrześcijaństwo otrzymaliśmy nie z Rzymu, lecz z Polski!” (Valdas Banaitis).

„Nasza wspólnie przeżyta droga — to i Grunwald, i bohaterstwo Powstania Kościuszkowskiego, i pamiętny rok 1863. To również hasło »Za wolność naszą i waszą« — powtarzane przez trzech wybitnych synów naszych narodów: Antanasa Maokewiczusa, Zygmunta Sierakowskiego, Konstantego Kalinowskiego” — przypomina o więziach historii etnograf i historyk, Juozas Kudirka. A przewodniczący rady sejmiku „Sajudis”, Vytautas Lands-

bergis dodaje: „Sytuacja nie jest prosta, droga niebezpieczna. Nietrudno skłócić nas między sobą, a więc uważajmy. Radziłbym Polakom zasadniczo ustosunkować się wobec obecnej i przyszłej Litwy”.

Znamienne są głosy obywateli PRL. Pisze Henryk Grycewicz z Łodzi: „W odbudowanym Zamku Królewskim w Warszawie witają zwiedzających zewsząd symbole naszej wspólnoty — Orła i Pogoni. Gdybyśmy manipulowali przeszłością, nie umieszczając np. Pogoni w Zamku Królewskim we właściwych miejscach lub w ogóle, to byłibyśmy nie tylko w niezgodzie z prawdą dziejową, ale i zubożylibyśmy własną i litewską historię...”

Wypowiedź Zdzisława Wasilewskiego z Wyrzyska jest obszerniejsza, ale zastępuje, by ją zacytować w całości:

„Mieszkałem w Wilnie z matką, dwiema babciami i dwójką rodzeństwa, ja byłem najmłodszy. Nigdy nie miałem wrogich uczuć w stosunku do Litwinów czy Rosjan. Byliśmy wzajemnie dobrymi sąsiadami, kolegami. W początku lat pięćdziesiątych było bardzo ciężko, a polatane spodnie nie paliły wstydem nikogo. Myśmy wtedy nie dzielili mieszkańców na narodowość czy wiarę.

W 1952 roku zmarła moja babcia. Matka pracowała sama na 6 osób. Sąsiedzi złożyli się na pogrzeb, inny sąsiad — Rosjanin — przyniósł kawałek słoniny. Nigdy tego nie zapomnę. Dzisiaj, kiedy żyję we względnie dostatku (mam samochód, dobre mieszkanie, oboje z żoną pracujemy), żaden prezent nie wywołuje u mnie tyle wdzięczności, co tamten kawałek słoniny podarowany przez Rosjanina.

Wszyscy chyba stali mieszkańcy jednego miasteczka kochali swoje miasto. To była nasza Ojczyzna, tu był nasz dom. I nigdy byśmy nie wyjechali do Polski, gdyby nie to, że mój starszy brat murował w niedługim czasie iść do wojska. W tych latach było tak, że Polacy i Litwini byli »uprzywilejowani« i szli do jednostek wojskowych za Ural. W jakimś stanie ci młodzi chłopcy wracali — widzieliśmy wszyscy. Odmrożone ręce, uszy, nogi. A ponieważ ja byłem też w kolejce do służby wojskowej, matka zdecydowała, że nie po to nas ustrzegła w czasie wojny, aby dać teraz zmarłowi. I to był jedyny powód wyjazdu do Polski. Pozostawiliśmy ukochane miasto, szczerych przyjaciół, wszystko. Jechaliśmy do Polski — nieznanej, a kochanej bardzo abstrakcyjnie. W szkole nieraz dochodziło do spięć bokserskich — gdyż nazywano mnie »ruskiem«. Tam byłem Polakiem — źle, tu »ruskiem« — źle...

A ileż mamy pięknych kart w naszej wspólnej historii. Książę Witold, sprwadając i osiedlając Karaimów w II połowie XIV w., nie obawiał się, że mają inny język, wyznanie, kulturę. To Karaimowie podnieśli na wyższy poziom tkactwo litewskie, wnieśli nowe elementy kultury, a przy tym stanowią pomoc przeciwko Krzyżakom. A nasza historia? Myśmy tej ziemi nie podbili przed wiekami zbrojnie, połączyła nas Unia. Przyszliśmy tutaj nie z pustymi rękami — świadczą o tym za-

bytki historyczne, kultura, nauka, nagrobki i pomniki.

Zapłata za to były w czasach stalinowskich masowe zsyłki na Sybir, dziesiątki tysięcy zapomnianych mogił, pogrom inteligencji, twórców kultury, naukowców, księży. Nie tylko Litwini cierpieli. Na Górze Trzykrzyskiej może stanąć wiele krzyży symbolizujących cierpienie Polaków, Litwinów, Żydów, Rosjan, Białorusinów i wielu innych. Nie spierajmy się, czy krzyż powinien być większy i cięższy. Ból i śmierć każdego człowieka jest nie do zmierznięcia. To nas powinno łączyć a nie dzielić.

Bzdury wypisuje pan Martinkenas, mówiąc, że Polska powojenna odziedziczyła po Polsce sanacyjnej dążenia zaborcze względem Wilna. Do lat 80. w Polsce nie mówiło się o Wilnie ani o Polakach na wschodzie. Panowała urzędowa przyjaźń narodów ZSRR i Polski. Przyjaźń prawdziwa przetrwała wśród wielu ludzi — Polaków, Litwinów, Rosjan, czy to mieszkających na Litwie, w Polsce czy na Syberii. Dopiero przyjazd Gorbaczowa do Polski wykazał prawdziwą radość tłumów Polaków w stosunku do przywódcy radzieckiego. I nie była to radość urzędowa, wypływająca z obowiązku czy służby.

Apeluję do pisma »Tarybinis Mokytojas«. Nie siejcie nienawiści czy chęć przywrócić narodowościowych. Pokazujcie to, co nas łączy i łączy, ukazujcie przykłady prawdziwej ludzkiej przyjaźni i współpracy. Zbyt dużo przeżywaliśmy wspólnych cierpień i nie trzeba tworzyć teraz nowych. Powinniśmy, tak jak przed wiekami, wspólnie pracować dla wspólnego dobra. Ale do tego nigdy nie dojdzie na czują »skale, jeżeli ludzie mówiący innym językiem będą »zaczepiani w trolejbusach czy kolejkach. Tego już w Afryce ani w Iranie nie spotyka się. Czyżby Litwa miała być gorsza?»

— Więcej odgłosów na nasze publikacje płynie z Polski niż z Litwy... — mówiono mi w 1987 roku. Do redakcji wpłynął min. list od młodego czytelnika z Olsztyna, który wyczytał, że gdzieś w litewskim kołchozie szukają robotników i dają mieszkanie: „Ja się zgłaszam, bo mieszkanie mi potrzebne!” Dzisiaj, w roku 1989, trudno byłoby pokusić się o określenie proporcji; jednak wiele płynie listów zewsząd z każdego zakątka zamieszkanego przez Polaków, którzy ufają swojej redakcji... Właśnie wtedy, w roku 1987, podczas wizyty gen. W. Jaruzelskiego w redakcji „Czerwonego Sztandaru”, polscy dziennikarze usłyszeli znamienne słowa polskiego przywódcy: „Gdzie byście nie byli, w każdym zakątku świata, Polska będzie zawsze pamiętać o Polakach”. Jak bardzo pomoc ta jest potrzebna, wiedzą tylko oni sami, Polacy poza Polską.

Gazeta prowadzi różnorodną pracę organizacyjną. Patronowała budowie pomnika Adama Mickiewicza, sprawuje patronat nad ekipą „Energopolu” budującą w ZSRR rurociąg. A od pewnego czasu najciekawszymi publikacjami są... referaty i sprawozdania z dyskusji partyjnych. Jeżeli piętnuje się dyrektora zakładu za pijaństwo lub nieudolność gospodarczą, to oprócz jego nazwiska podaje się obok w nawiasie nazwisko sekretarza komitetu

rejonowego partii, na którego terenie rzecz przykra się zdarzyła. Jawność? Ależ tak! A w PRL-owskiej prasie nadal bandytów kryje się pod inicjałami, natomiast nazwisko osoby poszkodowanej spotkać można w całej okazałości łącznie z dokładnym adresem, by... kompani mogli wymierzyć zemstę w imieniu „nieszczęśnika”, chwilowo przebywającego za kratami... Co kraj to obyczaj.

„Czerwony Sztandar” ma ambicje wyjścia poza oplotki Litwy i pisania o sprawach nurtujących miliony Polaków rozrzuconych przez los — i przez tych, którzy losowi pomagali — po całym terytorium Kraju Rad. Kierownictwu redakcji marzy się uruchomienie filii redakcji w Grodnie (ok. 200 tys. Polaków w obwodzie grodzieńskim) i we Lwowie.

Redakcja ma także swoje kłopoty wewnętrzne. Np. nie posiada bezpośredniego dostępu do serwisu informacyjnego Polskiej Agencji Prasowej. Nowiny z PRL „Czerwony Sztandar” otrzymuje za pośrednictwem TASS, tłumaczone na rosyjski, a później z rosyjskiego ponownie na polski, już w redakcji. Niektórzy grymaszą na nie zawsze poprawną polszczyznę „Czerwonego Sztandaru”. Nie wiedzą, że jeszcze dzisiaj nie wszyscy pracownicy tej polskiej redakcji znają język polski, bo też i nie wszyscy są — po prostu — Polakami... Absurd? Ależ tak! Zdarzyło się nawet kiedyś, że oprócz zeszytów Rosjan pracował w polskiej redakcji... Azjata! Tak być musiało, skoro cała przedwojenna inteligencja (środowisko najbardziej odporne na wynarodowienie) dobrowolnie lub niezbyt dobrowolnie opuściła tereny przedwojennej Wileńszczyzny. A wyjeżdżał do PRL dziennikarzem „Czerwonego Sztandaru” nie pozwalano, to i skąd mieli posiadać tak nienaganną polszczyznę jak ich zachodni koledzy po fachu, pracujący — nie przyzierając — w RWE.

Wszystkie drogi polskich gorzkich żalów prowadzą do... szkoły. Kierownictwo redakcji uważa; że nauczyciele szkół polskich na Litwie powinni być bardziej ambitni, dbać o wyższy poziom nauczania. Warto założyć Towarzystwo Języka Polskiego np. na polonistycę WIPF. Do niedawna poziom języka polskiego TAM mierzono miarką nieomnożności, cytując anegdotę o Napoleonie i salucie armatnim, a raczej jego braku. Dziś książka polskie do szkół polskich na Litwie płyną i płyną. I ten żywiołowy strumień polskiego słowa zaczyna coraz wyraźniej zmieniać dotychczasowy stan rzeczy.

— Nie dajmy się porwać euforii nacjonalizmu, dbajmy o honor narodu i własny... — mówią w „Czerwonym Sztandarze”, starając się bronić „swoich” Polaków ze wszystkich sił. Zdarza się i tak, że trzeba dochodzić sprawiedliwości aż w Radzie Ministrów Litewskiej SRR.

Ostatnio redaktor naczelny, Zbigniew Balcewicz, prawnik z wykształcenia, interweniował w Komitecie ds. Statystyki. A sprawa tylko pozornie wydaje się niewiarygodna. Otóż podczas Ogólnozwiązkowego Powszechnego Spisu Ludności w styczniu 1989 roku w kwestionariuszach obowiązujących na Litwie i Białorusi pojawiła się zagadkowa nowość: konieczność wpisywania w rubryce „narodowość” słowa „tutejszy”, zamiast „Polak”... Dlaczego tak? Otóż na wniosek etnografów litewskich i białoruskich w kwestionariuszach zabrakło słowa „Polak”! W domyśle ponoć miało funkcjonować tak, że kto wybrał określenie „prosty”, miał się zaliczyć do Białorusinów, natomiast obywatel, który chciał stwierdzić, że jego ojczystym językiem jest polski, miał do dyspozycji rubrykę „Litwin”. Ileż uczonemu wysiłku trzeba było, by powyższą sprawę tak koronkowo sp...ć, to znaczy — spreparować. Podziwiam was, panowie etnografowie! I waszych nadzorców.

Najkrótszą informację o sytuacji w „Czerwonym Sztandarze” uzyskałem... po powrocie do Polski, oglądając w rodzinnych pieleszach Dziennik TVP, a w nim relację z festynu pt. „Wilno w Warszawie”:

— Z gazety wydawanej po polsku staliśmy się gazetą polską... — stwierdził redaktor naczelny, Zbigniew Balcewicz.

(Koniec odcinka 3. — cdn.)

WYJECHAŁEM do ZSRR pilotowany przez Agencję Prasową NOWOSTI. Celem podróży miało być podpatrywanie na gorąco i bez żadnych przeszkód (oraz reporterstwie „urwalanie”) zachodzących w Związku Radzieckim zmian, równych — jak twierdzą niektórzy — tym, jakie osiągnęły zaszły po Rewolucji Październikowej. Któż by nie chciał utrwalać dni, które wstrząsają światem? Słowem, cel i szczegółowy program mojego tygodniowego pobytu obu stronem dobrze był znany i dość precyzyjnie ułano-ny.

Na dworcu w Moskwie odebrał mnie mój opiekun z APN, Sasza, i sprawnie doholował do gigantycznego hotelu „Rossija”, tuż przy placu Czerwonym, i to tej jego części, na której w końcu maja '87 lądował młody Niemiec, Ruś. Jasność się to wymownie komponowało, ale mieszkańcy Moskwy, mimo głośności, nie chcieli o sprawie w ogóle rozmawiać. Nie chcieli i już.

Potem było oficjalne powitanie, wizyta w gabinecie szefa z epoki Breżniewa (gab.net był z tamtej epoki, nie szef). No i zataśwanie, jak zwykale, niezmiernie skomplikowanych prostych formalności. Wedle planu, jeszcze dziś miałem mieć spotkanie i wywiad specjalnie dla mojej redakcji z profesorem Jurijem Afanasjewem, czołowym rzecznikiem głośności i pieriestrojki. Słowa te zrobiły ogromną karierę w sw.e.e, lania sobie na nich języki czytelnicy „Spiegla”, „Le Monde”, „Timesa”, „Washington Post” czy „Corriere della Sierra”. Niestety, okazuje się, że profesor niedostępny, jeszcze na urlopie. Może natomiast ze mną pogadać jego zastępca, wicedyrektor uniwersyteku moskiewskiego, ale oczywiście nie o pieriestrojce ani „białych plamach”, lecz tylko i wyłącznie o programie nauczania na uniwersytecie. Program ten podobny jest zresztą do programów naukowych uniwersytetów w Warszawie, Berlinie czy Sofii, a kto wie czy i nie na Sorbonie... Podziękowałem uprzejmie.

Na szczęście nazajutrz mieliśmy odlatywać z opiekującym się mną na stałe Saszą do Taszkentu, aby zobaczyć i naocznie przekonać się, jak tam, w bardzo głębokim terenie, w dalekiej Azji Środkowej (z natury, tradycji, kultury i religii — zachowawczej) „wdrażana jest na co dzień pieriestrojka i głośność”.

Okazało się, niestety, że nic z tego. Nie polecimy. Bo nie „zabezpieczono” nam (wykupionych już dawno temu w Warszawie) biletów open na ten lot, choć program znany był od paru tygodni. Siedzę więc w nieludzko gigantycznym hoteliku zupełnie bezczynnie przez dwa i pół dnia. Nudy straszne. I sumienie gryzie, że bezproduktywnie przejadam państwowe diety oraz marnotrawię po przeszło 50 rubli za jeden nocleg — w rachunku uwzględniono bowiem stosowną kwotę za telewizor, którego w moim pokoju nie było nawet przez jedno мгновение oka (podobnie jak prądu w gniazdku do golenia w łazience)...

N AZAJUTRZ, szczęśliwie, bilety na lot do Taszkentu już były i ruszyliśmy spod hotelu zamówioną na mój koszt taksówką, konkretnie wólką o numerze bodaj 811, którą powoził — już z całą pewnością — pan Mikołaj Kuźmin (lat 42), z zawodu inżynier, konstruktor maszyn, były wybitny student, wybitny młody pracownik instytutu, obecnie szofer. Z pierwszych zdań zamienionych z taksówkarzem zorientowałem się, że to osobowość nietuzinkowa, człek przypominający żywą kulę ręki. Słowo po słowie, wyciągałem z niego całą historię jego życia.

— W dawniejszych czasach nie bym panu nie powiedział. Dziś jest głośność, więc nie ma sprawy. Poza tym — nie mam niczego do ukrycia, moje ręce i sumienie są czyste.

A więc — po studiach trafił do instytutu. Na początek dostał 120 rubli miesięcznie. Zgłosił jedno, drugie, trzecie usprawnienie w opracowanych i stosowanych konstrukcjach maszyn. Nie zostały uwzględnione, bo choć ze wszelkich miar były słuszne, technologicznie i ekonomicznie pożądane, przeciągałyby jednak za sobą konieczność wdrażania nowego, podejmowania biurokratycznych wysiłków, dziesiątków uzgodnień, podpisów, akceptacji poszczególnych części na całej wysokości drabiny hierarchii służbowych. Pomysły zostały utracone, projekty — sensowne i przyszłe — legły na dnie szuflady szefa. Pokaram dla moli i myszy.

Niebawem Mikołaj Kuźmin założył podstawową komórkę społeczną, która szybko powiększyła się o rejonka, co spowodowało, że przejściowo trzeba było utrzymywać trzy dusze za jedną inżynierską pensję wynoszącą, łącznie z dodatkami rodzinnymi, 165 rubli. Rzecz okazała się na tyle niewykonalna, że żona Kuźmina postawiła warde ultimatum: albo weźmiesz się za jakąś godną prawdziwego mężczyzny pracę dającą szansę utrzymania rodziny, albo...

Kuźmin rzucił instytut, wyrzekł się przysiężki kariery i zatrudnił się jako kierowca ciężarówki. Wielkim zilem woził materiały na budowach. Od razu, licząc z „botkami”, zarobił przeszło dwa razy tyle, ile otrzymywał, będąc inżynierem w instytucie. Ciężarówką jeździł krótko, kilka miesięcy, skurał tyle, żeby wystarczyło na uzyskanie nobilitującego tytułu robotnika. Przed robotnikiem wszystkie możliwości otwarte.

Kuźmin, jako człowiek przytomny, znający dobrze otaczającą go rzeczywistość, od początku mierzył wysoko — za kierownicę taxi. Z tym, że przejście za rajabretu (i w ogóle jakiegokolwiek

inżynierowi bądź intelektualistcie) bezpośrednio za kierownicę taksówki było i jest niedozwolone. Po to, aby wybyć się kłopotliwego cokolwiek, mocno kregującego ruchu statusu inteligenta technicznego i twórcy, Kuźmin właśnie miał (i bardzo chciał) jeździć ciężarowym zilem na budowach. Mógł to osiągnąć, ponieważ na zily przyjmowali wszystkich chętnych: pijaczków, kryminalistów, a nawet inżynierów. Po prostu za mało było chętnych, zaś budować i wozić trzeba. Więc stworzono lukę w obowiązującym prawie...

Tak Kola — po stażu za kółkiem zila — został taksówkarzem. Konkretnie — w bazie numer jedenastej, oczywiście w Moskwie, gdzie takich jak on inżynierów, tudzież innych uczonych, wśród taksówkarzy mnóstwo; wedle Kuźmina, w granicach 70—80 procent wszystkich szoferów.

Od tamtego czasu żona Koli przestała narzekać. Mają nowe i wygodne mieszkanie w Moskwie oraz budującą daczę (o niej za chwilę) w cichym, pięknym zakątku, dostatecznie odległym od zgiełku metropolii i dostatecznie chyba eks-

fioletowe, a zarazem zacierwieni. Kwestia przepuszczenia światła i higieny. Chodzi o komfort, temperaturę i drobnoustrój. Moja dacza musi być przytulna i zdrowa. Taką dla ludzi.

— W tym letnim domu mamy, poza klimatyzacją, także pełną radiofonizację, nagłośnienie i własny system łączności wewnętrznej. Również telewizory kolorowe, własnej amatorskiej produkcji, wbudowane są w ściany i regały z książkami. Wszystko sterowane zdalnie, jak przystało na dwudziesty pierwszy wiek.

— Chcę teraz wyrzeźbić, bo i to potrafię, do hallu i do living roomu popiersia znanych ludzi: Napoleona, Woltera, Tolstoję i tak dalej. Ale nie będą to zwykłe sobie popiersia. Moje podobiany będą obowiązkowo ruszały ustami i oczami oraz będą wydawały nagrane na taśmie głosy z sentencjami lub znanymi powiedzonkami. Głosy wezmę ze znanych filmów, „pożyczę” sobie je od wybitnych aktorów.

— Mam też wiele innych pomysłów odnośnie daczki, ale są jeszcze nie do końca przemyślane.

Oblicza pieriestrojki (1)

TAKSÓWKARZ

Stanisław Harasimiuk

kluzowym, skoro wszyscy sąsiedzi Kuźmina to akademicy.

— Na ogół teraz nie brak nam niczego — mówi Kuźminowi.

Nie chodzi o same pieniądze. Również niedostępne zwykłym ludziom towary mają jakoś łatwiejszą drogę do taksówkarzy. Po prostu kierowcy znają wielu różnych ludzi, są ruchliwi, mają najlepszy wywiad, może lepszy nawet od mdłycego, sprawniejszy ponoć niż KGB. Oni, taksjarze, zawsze o wszystkim wiedzą pierwsi. Nawet o zmianach w rządzie dowiadują się wcześniej, z przeproszeniem, niż żurnaliści. No więc w sumie da się żyć. Całkiem niezle.

— A zawód, inżynierskie ambicje? — pytam.

— No cóż, w życiu zawsze jest coś za coś. Za wszystko trzeba płacić. Chociaż jako szofer — zapewniam Kuźmin — mogę się i w dziedzinie konstrukcji maszyn rozwijać o wiele bardziej, niż jako pracownik specjalistycznego instytutu. Oto nie udało mi się zrealizować ani jednego uznanego za słuszny i uzasadniony projektu. A jako taksówkarz w wolnych chwilach zaprojektowałem i zbudowałem dwa małe traktory — jeden sobie, potrzebny do ogrodu przy daczce, drugi przyjacielowi. Obecnie buduję trzeci traktor, dla drugiego przyjaciela.

— Traktor podobny do mojego, tyle że gorszy, mniej ekonomiczny w zużyciu paliwa (o 130 procent), dużo mniej trwały, ma cenę państwową 1500 rubli. Ja swoje traktory budowałem — nie licząc mojej pracy amatorskiej — po 200 rubli każdy. Siedem razy taniej! Z części i materiałów nabywanych po cenach detalicznych. I nie miałem do dyspozycji kooperantów, służb zaopatrzenia i zbytu, taśm montażowych, planistów, inżynierów, techników, księgowych, dyrektorów, sekretarek, urzędników i tak dalej i dalej. Budowałem traktor sam z dostępnymi mi, ale ulepszonymi, modernizowanymi i adaptowanymi częściami. Takie traktory jak moje — małe, tanie, trwałe i wydajne — mogłyby zrewolucjonizować radzieckie „małe”, czyli przyzagrodowe rolnictwo. Ale czy się przebiega do ludzi?

— U mnie, w moim gospodarstwie, w ogóle u mnie w domu, pieriestrojka, znaczny zdrowy rozum i ekonomia, stosowane były zawsze, na długo wcześniej, zanim w ogóle usłyszałem nazwisko Gorbaczowa. Zawsze żyłem z obówkami w ręku. Dlatego jestem taki, jaki jestem, i jestem tym, kim jestem. Wybrałem, i teraz tym bardziej wybieram, to, za czym przemawia logika, rachunek i fantazja. Bo życie bez skrzydeł fantazji jest puste i smutne. Człowiek musi wylać wysoko, wyznaczyć sobie duże i piękne cele. Inaczej obrośnie w tłuszcz, zmieszanie, zostanie ramieniem albo kutwą. Czyli — rozmięknie się na drobne.

— Przykładowo moja dacza. Nie jest to jakiś tam zwykły sobie dom letniskowy. To jest dzieło sztuki inżynierskiej. Są tam dwie kondygnacje, a także piwnica i strych. Jest i winda. Automatyczna, z fotokomórką. Zaś obna są z matowego, dymionego szkła. Ty na zewnątrz widzisz wszystko, a oni zewnątrz w ciebie nie widzą nic. My house is my castle, prawdziwie. Za to w ścianach mam wmontowane świetlaki, emitujące promienie ultra-

z nie dokończonymi rozwiązaniami technicznymi i trickami. Bo mój dom nie może być ot, taki sobie, jak te, Boże chroń, w blokach, te miliony szarych, bliźniaczych kłatek z betonu zwanych mieszkaniami. Mój dom, moja dacza musi być prawdziwa, naprawdę moja. Ona musi o mnie jako Mikołaju Kuźminie, przeciw człowiekowi jedynemu na świecie, ona, moja dacza, musi coś o mnie innym ludziom mówić, tak jak ja poprzez moją daczę, moje życie, chcę coś powiedzieć ludziom i światu. Mój dom musi zachwycać, zdumiewać, bulwersować moich gości. I będzie...

WIERZE, szoferowi moskiewskiej taksówki Mikołajowi Kuźminowi, że jego dacza będzie zachwycać i bulwersować. Wierzę, że sam ją zaprojektował i sam wybudował. Mam tylko jedną, wyrażoną głośno wątpliwość:

— Czy nie szkoda wszechstronnego talentu inżyniera Kuźmina na pojedyncze egzemplarze traktorów oraz niezwykłą daczę, supernowoczesnie wykończony domek letniskowy?

Szofer uśmiecha się do siebie, pod wąsem i mówi:

— Obok mnie ma daczę znany, bardzo znany radziecki akademik. Laureat, ma ordery i medale, konto dolarowe, jego prace tłumaczą na różne języki świata. A przecież on w tej swojej daczce nie ma nawet windy, a u mnie fili jest!

— U pana jest. Zgoda. Lecz pański talent, który mógłby służyć społeczeństwu, nie jest wykorzystany.

— A czy to moja wina? Czy ja nie chciałem przekazać społeczeństwu wszystkiego, co potrafię? Teraz podobne projekty moich młodszych kolegów, opłacanych identycznie kilkadziesiąt jak w swoim czasie ja, też idą do kosza. Do tego samego kosza tego samego szefa.

— Więc szkoda ich tak samo jak i pańskich.

— Nie. Nie tak samo. Moich już nie szkoda. Moje umiejętności stają się ciałem. Są realizowane.

Dojechaliśmy właśnie do dworca lotniskowego. Kuźmin wygasił silnik (nie wyłączając jednak tykającego taksometru) i odwracając się do tyłu, gdzieśmy siedzieli z Saszą, zapytał, czy zechciałbym wysłuchać jego wiersza, uwieczniającego zaobserwowane nad Moskwą w 1804 roku niezidentyfikowany obiekt latający. Wiersz ma rozmiary poematu, agramną formę, dobry rytm, rymy jak u Puszkina i sporo głębokiego sensu. „Uwór godny publikacji” — zanotowałyby na manginesie masy-nopisu niejeden redaktor literacki, niejednego szanującego się pisma.

Inżynier-poeta skończył deklamację i umilkł skromnie. Ja sięgnąłem po portfel. Bijący ciagle licznik wskazywał 11 rubli i 20 kopiejek. Zapłaciłem z przyzwyczajonym napawkiem. Taksówkarz Kuźmin i tym razem nie stracił. Miał przyjemność wygadania się, dużą, wyraźną satysfakcję zaprezentowania swojego utworu i jeszcze mną za to z nawiązką zapłacono...

Z Polski przez Syberię do Polski



Mieszkańcy Chalczyna (1939 r.). Stoją (od lewej): Januszkiewicz Mieczysław i Januszkiewicz Franciszek, Władysław B.; siedzą: Duda Michał, Edward B.

WYJAZD NA SWOJE

Ksiądz na mszy ogłosił, że będzie parcelacja majątku w powiecie zborowskim województwa tarnopolskiego. W naszej wsi Wielączy (gmina Mokre pod Zamościem) małoletnich nie brakowało, toteż i chętni na wyjazd znaleźli się bez trudu. Kupować ziemię można było na wyplat.

W 1938 roku z Wielączy wyjechało 7 rodzin, z Niedzielsk 2 rodziny, z Zarudzia — 3, ze Złojc — 2 i jeszcze z parafii 6 gospodarzy. Do nich dołączyli 3 rodziny z Krakowskiego i jedna aż z Ameryki. Ten emigrant 16 lat zbierał pieniądze na „swoje”, długo się jednak ziemią nie nacieszył. Na dodatek znalazł się nawet fotograf, kulały i przygluchy o nazwisku Plocharch.

Nowy adres brzmiał: kolonia Chalczyn Dolina, gmina Olejów, pow. Zborów. Początkowo wszyscy mieszkali w czworakach opuszczonych przez parobków. Każdy budował się, jak mógł, na ile go było stać. Zaplanowano także szkołę i kaplicę. Póki co na nauki chodziliśmy około kilometra do wioski, a do kościoła do Olejowa. To była śliczna świątynia, położona między polami; widzę ją dziś, gdy czytam „Nad Niemnem”.

WYBUCHŁA WOJNA

Do wojska zabrali wujka Piotra Szczygła, posłali jeszcze Jan Duda, Michał Januszkiewicz, co to jego brat służył właśnie w „czynnej”, a i jeden kapral. Dwóch gospodarzy poprowadziło konie z naszej kolonii na stację w Zborowie. Nadleciały niemieckie sa-

moloty, spadły bomby i tak zginęli Krupnicki oraz Mazolski. Zostały po nich wdowy, potem ofiary NKWD.

17 września granicę polską przekroczyła Armia Czerwona. Wojsko Polskie myślało, że idzie mu ona pomóc, a okazało się, że to cios w plecy. Wtedy nasi kierowali się w stronę granicy rumuńskiej, ale nie wszyscy zdążyli i tych czekał ciężki los.

Na czele Armii Czerwonej jechali Ukraińcy na małych konikach; ci ścinali słupy telefoniczne. Może były to jakie bandy. Wojska radzieckie zabraly hrabiego z Olejowa, na którego majątku my właśnie siedzieliśmy. Staruska już nie zobaczyłem nigdy, jego żona rozdawała nam pszenicę na zasiew. Złych wieści przybywało. Jakis Ukrainiec wystrzelił na przykład do wujka Piusa Szczygła, chybił jednak. Wujek potem też trafił na listę NKWD, wyszedł z Rosji z Andersem, pod Monte Cassino stracił obie nogi i zamieszkał w Anglii, a czy nadal żyje, tego nie wiem!

Pewnego dnia od strony granicy szło czterech polskich żołnierzy i płyty kapral. Nie mieli oni broni, pewnie wracali do domów. Nadjechali Rosjanie i zaczęli atakować tę piątkę, ludzie myśleli, że to atak na kolonię. Widziałem, jak w końcu przyprowadzili schwytych na nasze podwórko. Prosilili wody, daliśmy im pić i pozełnaliśmy, bo zabrali ich na samochody. Potem przyjeżdżali Ukraińcy z czerwonymi opaskami na rękawach i wciąż pytali o broń, której nie mieliśmy. Chodzili słuchali o mordach, wybuchy pożary. Nasi mężczyźni z widłami, siekierami i kosami trzymali wartość przed bandami w cegielni, co do wojny służyła nam do wypalania cegły na szkołę i kaplicę.

WYWÓZKI

Już nie było walk, a ludzie znikali. Piotr Szczygł walczył w obronie Warszawy, dostał się do niewoli niemieckiej, ale puścili go i dali nawet kartkę na drogę. Stał się ofiarą NKWD, jego żona i dwoje dzieci zmarli z głodu. Jan Duda, gdy wrócił, nie zastał już rodziny, osiadł więc na Zamojszczyźnie. Takich przypadków było zresztą więcej, najbliżsi nie wiedzieli dokładnie o losie najbliższych.

Były zarządca majątku, Ukrainiec i dobry człowiek, namawiał mego ojca do ucieczki. Na to ojciec odpowiadał, że on przecież jest na swojej własności i nikomu nie zawadza. Tak powtarzali i inni. Na sobotę, 9 lutego 1940 r., sąsiadowi kazali stawić się z podwodą, ojciec dołączył, bo mieli po jednym koniu. Przeczekali noc koło gminy w Olejowie, a rano ruszyli wszystkie podwozy ruszyły ku naszej kolonii razem z NKWD. Ojciec zobaczył, że jego rodzinę już ładują na sanki, dosiadł do swoich. Panowało zaskoczenie, w wielu domach jeszcze spali, mróz trzymał ostry, śnieg sięgał po kolana. Oficer z żołnierzem

wchodzili do mieszkania, a trzeci z karabinem pilnował przed drzwiami, by nikt nie uciekł. Kazali się szybko zbierać, niczego nie brać, bo „tam” wsio dają. Najgorzej, że brakowało chleba, w dzieciach stał rozczyn, w sobotę zwykle piekło się bochenki na cały tydzień. Przy dużych rodzinach na sankach starczało miejsca wyłącznie dla dzieci i starszych, pozostali szli pieszo. Z całej kolonii uratowała się Katarzyna Pytlowska, która schowała się do komina, i Jakub Zgnielec z wnuczką, którym udało się uciec w stronę Zamościa. Wywieźli nawet komunistę, męża Pytlowskiej.

Nasza kolumna posuwała się na południe, mijaliśmy znane wioski i cerkwie. Przez okna patrzyli na nas miejscowi Ukraińcy, na pewno nie wszyscy się cieszyli. Przed wojną chodziliśmy na wspólne zabawy w stodolach na klepkach.

CHŁOPSKIE

Po 15 kilometrach znaleźliśmy się na stacji w Zborowie, zapchanej składami pociągów towarowych. W każdym wagonie, po prawej i lewej stronie, były podwójne pryce, a w środku stał piecyk na węgiel i leżało trochę mialu. Koło drzwi widniała w podłodze dziura do zatwierdzania się. Stłoczono nas, drzwi zamknięto, na zderzakach miejsce zajęli żołnierze w kozuchach. Wywozili, bo byliśmy Polakami.

Zaległo się robactwo, jechaliśmy bez mycia, nie pamiętam, jak długo. Chorowaliśmy na żołądki, często więc jeden siadał nad dziurą, a pozostali obstawiali go dookoła. Ot, potraktowali nas na podobieństwo bydła. Dopiero na dawnym terenie ZSRR raz dziennie otwierali drzwi i z każdego wagonu szły dwie osoby, pod bronią, po zupe oraz chleb. Za Uralem przestali zamykać na kłódkę drzwi i tak dojechaliśmy do Krasnouralska.

W BARAKACH

Baraki były z desek, do środka wysypano między nie żwir. Dwa baraki zbudowano z okrągłaków i utkano mchem leśnym. Drzewo jednak przeschło, powstały szpary, w których gnieździły się pluskwy i wszelkie inne robactwo. Po wodę chodziliśmy z wiadrami i jeszcze musieliśmy płacić kopieki. Latem zbieraliśmy chrust, by mieć czym palić zimą. Wyróżniał się barak z siedzibą NKWD, aresztem i sklepikiem. Ogradać całości nie było potrzeby.

SĄD

Ciągnąłem się do pracy i spotkałem brygadiera Isakowa. Powiedziałem, by dał mi ubranie, bo stare się podarło. On na to, że termin jeszcze nie minął. To ja nie poszedłem do kopalni, to oni oddali mnie pod sąd. Nerwowo! Wziąłem się na sposób, wycygnąłem od lekarza zwolnienie na 3 dni. Panowała wtedy czerwotka, udawałem więc, że boli mnie żołądek, lekarz każe przynieść kał.

Po paru dniach wezwali do sądu. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować. Siedziałem wśród kilku robotników rosyjskich. Brakowało wtedy papieru, więc prokurator miał na gazecie napisane oskarżenie. Wstałem i zawołałem: „Job twoju mać, toć ja był bolhoj!” Wyrok i tak zapadł, kazali płacić karę, to mi zostało tylko na czarna kawę i chleb.

To były chyba najtrudniejsze miesiące. Dowiedziałem się też, że żona wujka urodziła dziewczynkę. Matka nie mogła karmić i nie mogła też kupić mleka, więc dawali w szmatkę mokry chleb. Mała po trzech dniach zmarła. Babcia sama ją ochrzciła i mówiła potem, że w niebie przybył jeszcze jeden aniołek.

ZMIANY POLITYCZNE

Po wybuchu wojny niemieckiej idziemy do pracy, a tu stoi dyrekcja. Oni pozdrowili nas jako Polaków (!), my odpowiedziliśmy. Pytają, czy wiemy, że napadł wróg. My na to: jaką wróg? Odpowiadają, że Niemcy. To nie wróg przecież, to wasz sojusznik! Pokiwali tylko nad nami głowami.

NA łamach tygodnika „Relacje” zakończony został w nr. 33 druk pamiętnika Aleksandra Zygmunta Kielasińskiego (1901—1944) pt. „Wakacje z bronią 1920”.

Autor pamiętnika, harcerz z 4 LDH, istniejącej do dziś przy II LO im. J. Zamojskiego w Lublinie, rozpoczął swój pamiętnik od opisu pożegnania na dworcu kolejowym w Lublinie wyjeżdżających na front. Czytelnik, nawet starszego pokolenia, nie bardzo orientuje się, jak do tego wyjazdu doszło oraz że zegnani stanowili pierwszą z trzech grup skierowanych na front z Batalionu Harcerskiego w Lublinie. Przedstawiamy więc w formie kalendarium przebieg najistotniejszych wydarzeń związanych z powstaniem i działalnością tego Batalionu.

Związek Harcerstwa Polskiego w omawianym okresie opierał swoją strukturę organizacyjną na Okręgach, które nie w pełni pokrywały się z podziałem administracyjnym państwa. Okręg Lubelski ZHP w 1920 roku obejmował swym zasięgiem tylko południowe powiaty województwa lubelskiego: Chełm, Hrubieszów, Janów, Lublin, Puławki, Tomaszów, Zamość; natomiast powiaty: Biała, Konstantynów, Łuków, Radzyń, Siedlce, Sokółka, Węgrów, Włodawa podlegały Okręgowi Polesko-Podlaskiemu, a powiat Garwolin — Okręgowi Warszawa Prowincja. W Okręgu Lubelskim istniało (wg stanu na I III 1920) 22 drużyny męskie, skupiające 1309 harcerzy, w tym 6 drużyn w Lublinie oraz 8 drużyn żeńskich, skupiających 468 harcerzek, w tym 4 drużyny w Lublinie.

1 LIPCA. Sejm powołuje Radę Obrony Państwa, na czele której staje Naczelnik Państwa Józef Piłsudski.

JESZCZE O „WAKACJACH

Kazimierz Jarzembowski

3 LIPCA. Przewodniczącym ZHP wybrany zostaje gen. Józef Haller, organizator armii ochotniczej.

Na murach miast i wsi ukazują się odezwy podpisane przez Naczelnika Państwa, wzywające wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie wstępowały w szeregi armii. Harcerstwo jako pierwsze zgłasza swój akces do obrony państwa.

7 LIPCA. Naczelnictwo ZHP, wobec pogarszającej się sytuacji na froncie polsko-radzieckim, wydaje rozkaz zarządzający stan pogotowia w całej organizacji.

8 LIPCA. Dowództwo Okręgu Lubelskiego ZHP wydaje rozkaz wzywający harcerzy do podejmowania czynnej lub pomocniczej służby wojskowej.

8—9 LIPCA. W Lublinie odbywają się wiece akademickie, wzywające ogół młodzieży do szybkiego działania. W związku z tym na zgromadzeniu młodzieży wyższych klas wszystkich szkół lubelskich postanowiono, że „wszyscy uczniowie klas VII i VIII obowiązani są do ofiarowania swych sił sprawie obrony Ojczyzny i stawienia się w tym celu przed komisjami poborowymi względnie wembunkowymi”.

10 LIPCA. Dowódca Kwatery Harcerskiej Za-

mość, druh Michał Pieszko, wydaje rozkaz, w którym zarządza „mobilizację wszystkich druhów powyżej lat 15, zdolnych do pełnienia służby z bronią w ręku, jak i pomocniczej”. Na zwę tego rozkazu i afiszów propagandowych, rozlepionych w mieście i okolicy, zgłasza się do służby wojskowej 27 harcerzy i 19 nieharcerzy, a do służby pomocniczej 9 harcerzy i 9 nieharcerzy (każdy ze zgłaszających się musiał posiadać pisemne zezwolenie rodziców).

11 LIPCA. Dowódca (inspektor ZHP) Okręgu Lubelskiego, o. Jacek Woroniedki, ogłasza mobilizację harcerzy w Lublinie. Rozkaz ten ukazuje się również w dzienniku „Ziemia Lubelska”.

Wojewoda Lubelski Stanisław Moskalewski wydaje poufne zarządzenie dla wszystkich starostów województwa lubelskiego, w którym czytamy m.in.: „Dla utrzymania ścisłego kontaktu urzędowego ze wszystkimi starostwami w obecnym okresie zaprowadzam z dniem otrzymania niniejszego polecenia stałą kłus kurierów (skautów), którzy codziennie zawozić będą starostwom ważniejszym polecenia i przesyłki Urzędu Wojewódzkiego, odhijając równocześnie od umyślnego wysłanego ze starostwa (raporty i inne pilne korespondencje)”. Ustalono 4 szlaki kurierów: Lublin —

Najważniejsze, że przybywało swobody i zapisywać zaczęli na ochotnika do wojska. Zgłosiło się nas 60 osób, nocą wyjechaliśmy z kopalni, a wcześniej pożegnali nas w tak zwanym teatrze. Zbiorczy punkt mieliśmy w Świerdłowsku, potem jechaliśmy cały miesiąc przez Czabalinsk na Taszkient i do Samarkandy. Wtedy po raz pierwszy dawali amerykańskie konserwy. W Samarkandzie pułkownik Armii Czerwonej powiedział, że wojska tu nie ma, będziemy kopać kanał. Na to nas dziewięciu postanowiło wracać. Północy jechałem pod wagonem i tak znów znalazłem się w Taszkencie. Spaliśmy około stacji, dużo tu koczowało Polaków, zapanał tyfus.

W polskiej placówce otrzymaliśmy chleb na powrót i pocieszenie, że jeszcze nas wezwą. Do pracy już nie miałem serca, wolnemu łatwiej było coś zorganizować do jedzenia. Przez parkan chodziliśmy podjadać górnicze zupy, na opał rozebraliśmy jeden duży barak przeznaczony na dom kultury.

drodze trzeba było dobrze strzec się zlodziei.

Młodzi poszli szukać pracy na północ, ojcowie na południe, a w umówiony dzień znów spotkaliśmy się na stacji. Skończyło się na kolchozie Kleusze; tam była stołówka i dawali żupę. To duża przedrewolucyjna wieś z cerkwią w środku, zamienioną potem na magazyn zboża. Dostaliśmy mieszkania i mieli nam płacić po jednym kilogramie mąki żytniej dziennie.

Po kilku dniach zachorowałem na tyfus. Zawieźli mnie do szpitala w rejonie (powiecie). Miałem cały czas tak silną gorączkę, że piłem tylko wrzątek, a porcje chleba składałem do szafki i te zabierała mama, gdy mnie odwiedziła. Po mnie zachorował wujek z córką, położyłem ich na wóz i polnymi drogami dowiozłem do szpitala. Trzęsło na korzeniach, oboje jęczeli. Lamentowała mocno babcia, wkrótce zmarła, chyba na atak serca. W Polsce należała do Kasy Pogrzebowej przy kościele, chciała mieć ładny pogrzeb, a umarła nawet bez spowiedzi. W kol-

wyczerpała, łapcie i ubranie podarły, trzeba było uciekać. Moczyliśmy suchary w strumykach, nocowaliśmy w szopie i tak do kolchozu. Nie aresztowali nas i nie wysyłali więcej.

Wiosną rozpoczęły się roboty w polu. Sialiśmy ręcznie z plachty. Nasi zgłosili przewodniczącemu kolchozu, że ta pszenica nie nadaje się na zasiew, bo zatechła leżąc w cerkwi na podłodze bez wietrzenia. Nic to, sialiśmy cały tydzień, a weszło niemal samo zielsko. Ziemia zaś tam jakta dobra, że obornik to wywozili do wawozu i wyrzucali na gromadę. Jesienią trzeba było z flagami, świętecznie wozić zboże dla Państwa, maleńko zostawało do podziatu między kolchoźników.

Pogarszało się nam i z innego powodu. Miszkę pioniera ktoś wypytywał, czy my lubimy Niemców. Bali się też, żeśmy o Bogu nie mówili, bo u nich nawet w domach to zakazane. No i te piosenki o Stalinie to się nam nie podobały.

Ojciec z Piekulą i Ptakiem Tadeuszem znaleźli kolchoz, Śluka za rzeką

bem, bo prawie wszyscy ginęli na froncie.

W obozie nad bramą napis: „Witaj żołnierzu wczorajszy tułacz”. Zobaczyłem koło sztabu flagę polską i orla białego z kamyków lub skorupki po talerzach. A miało przecież Polski nie być, to się i wrzuciliśmy wszyscy.

O froncie to już nie będę dokładnie pisał, bo wielu to robiło. Spod Lenina obaj z bratem wyszliśmy cało, mnie skierowali na szkołę podoficerską. Na Smoleńszczyźnie napotykałem na wzmianki o grabach w Ikatyniu, ludzie jednak nie chcieli mówić, bali się, łatwiej szło od dzieci coś wyłuskać.

Potrzeba było coraz więcej żołnierzy. Dostał wezwanie do wojska mój ojciec i młodszy brat, tak że już czterech nas nosiło mundurę. Przyszło zawiadomienie i do wujka, co to walczył we wrześniu 1939 r. w obronie Warszawy Miał troje małych dzieci, więc zwlekał. Na to zjechało NKWD i ślad po wujku przepadł. Przy tej okazji zwracam się więc do czytelników, może coś wiedzą o dalszym losie Piotra Szczygła. W kolchozie zmarła jeszcze córka tego Piotra, wołała tatusia, a ten przecież był w rękach NKWD. Potem jeszcze wybuchła heca z przymusowym przyjmowaniem obywatelstwa radzieckiego.

Chciałem dojść do polskiej ziemi, tam i umrzeć — tak myślałem — łatwiej. Ciotkaliśmy tę ziemię po przejściu Bugu i dalej marszem za Lublin. Tu po raz ostatni widziałem brata. W okopach pod Dęblinem dostałem dwa listy od kolegów, a w nich wiadomości o śmierci żołnierskiej ojca i brata.

Pierwsze Boże Narodzenie w Polsce, paczki od dzieci z terenów wyzwolonych. Po zajęciu Warszawy w styczniu 1945 roku zaczęliśmy marsz na Bydgoszcz, ale mnie wtedy skierowali do szkoły oficerskiej. Po wojnie ochraniały granice, byłem na strażnicy w Leluchowie za Muszyną. To też długie opowieści o przenosinach, aresztowaniach, wywózkach. Siłą przemieszano, nie patrząc dokładnie kto; dużo było krzywdy.

RODZINNE RACHUNKI

Ojciec zginął na przyczółku wareckim, brat Marian na Wiśle pod Dęblinem, brat Feliks w Warszawie (był w 3 Dywizji im. R. Traugotta). Brat Władysław został na zawsze na Syberii, jeden tylko maly brat wrócił do Polski, ale też już nie żyje. W tym powrotem były ogromne kłopoty, bo już mieli wpisy do dowodów, że są obywatelami radzieckimi. Ciężko pracowali, jeden w kolchozie wozził chorych i zmarłych, to cały czas musiał trzymać w ustach cebulę i czosnek.

Wujek przepadł też wieści (NKWD), babcia i ciocia zmarły w kolchozie, także córka wujka.

Długo by wliczać wszystkich bliskich i znajomych, którzy wpisali się na listy ofiar II wojny. Długo by też opowiadać o wszystkich przejściach. Mam tylko pytanie: kto i kiedy napisze prawdę, całą prawdę o polskich losach? Oprac.: Adam Dobroński

(Autor wspomnień nie zgodził się na ujawnienie danych personalnych).

DOLE I NIEDOLE

DO KOLCHOZU

Polacy zaczęli wyjeżdżać w poszukiwaniu lepszej pracy. Domówiliśmy się my w 7 rodzin, a było to w lutym — marcu 1942 r. Kasjerka na stacji nie chciała sprzedać biletów, to siostra dała jej pantofle, a inna kobieta chustkę na głowę. W Świerdłowsku znów to samo, a jeszcze wyrzucili nas z poczekalni. W końcu zawiadowca postawił warunek: odprowadzi nas, jeśli mężczyźni oczyścą tory. Tak się stało i towarowymi wagonami pojechaliśmy do Janiszewa w kazańskiej oblasti. Po

chozie zrobili skrzynkę, ja wyciosałem siekierą krzyż i nożem położyłem napis: „S.P. Tu spoczywa Szczygieł Zofia”. Pochowaliśmy ją na cmentarzu koło Ruskich.

WCIAŻ CIĘŻKO

Wujek z córką powrócili ze szpitala. Wtedy przyszło do kolchozu zarządzenie, by wysłać trzech ludzi do ścięcia drzewa i furmankę do przewożenia opału na stację kolejową, gdzie brackowało węgla do parowozów. Pojechaliśmy 70 kilometrów, przez 2 tygodnie ręcznie pikowaliśmy kłose. Kasza się

Wiatka i myśmy się podzielili na krótko. Ojciec z siostrami i braćmi zamieszkał w Rosjanke, której mąż siedział w więzieniu. Za rzekę przeniósł się także wujek Piotr Szczygieł. Zmarła mu żona Hanna i spoczęła obok mojej babci i córki Emilii.

Zimą po lodzie ruska kobieta, Mania Kłochina, zabrała mnie też do Śluki na kowala. Staruszek nauczył kucia i spawania, dostałem nawet do pomocy chłopca. Wozy miały tu osie drewniane, młóciło się z pomocą kierałów, ale kobiety słabo radziły sobie z tą „techniką”. Nauczyłem się też podszywać walonki, a wszystko z biedy i w poszukiwaniu chleba. Robiłem na przykład bosaki na podobieństwo strażackich. Wiosną rzeką płynęły drzewa, to je kolchoźnicy próbowali wyciągać na brzeg. Za kowalski trud dostawałem kawałki chleba, niekiedy trafiało się jajko i tylko mięsa nie widzieliśmy. Zamiast cukru zdarzało się cukierek, to trzymało się go w uszach i piło na prykusku. W ogóle to ludzie tamtejsi nie byli źli. Przeszły biedę, nędzę, prześladowania i, choć nieśmiało, to zapraszali czasami na ozaj, pogadali, pobawili się. Niektórzy nawet modlili się w tajemnicy, a w tym kolchozie żyły i dwie monaszkę, czyli zakonnice.

DO WOJSKA

W kuźni pracowałem do 29 maja 1943 r. Przyszło wezwanie do wojska, teraz już nie Andersa, a sztykowanej 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Dostaliśmy pud mąki, mama piekła chleb i suchary dla mnie oraz brata Mariana. Jechali i inni jeszcze, cała wioska nas odprowadziła, a szli jak za pogrze-



Grupa Polaków tuż po wywiezieniu do Krasnouralska. Czy powrócili?

Z BRONIĄ 1920"

Ludmiła Kuprianowicz

— Rejowiec — Tomaszów; Lublin — Parczew — Łuków — Siedlce; Lublin — Rozwadów; Lublin — Puławy — Dęblin — Garwolin.

13 LIPCA. Naczelnictwo ZHP wydaje rozkaz mobilizacyjny, skierowany do wszystkich środowisk harcerek w związku ze zbliżaniem się frontu radziecko-polskiego do centrum kraju.

Główna Kwatera Męska wydaje rozkaz L. 7, zwołujący na dzień 17 lipca zbiórki oddziałów harcerek do Warszawy.

Do Zwierzynca koło Zamościa, gdzie od końca czerwca odbywa się kurs instruktorski Okręgu Lubelskiego ZHP, przybywa harcerz-kurier Naczelnictwa ZHP z rozkazem mobilizacyjnym. Komendant kursu Kazimierz Grochowski (komendant Hufca Lublin) informuje kadre i kursantów, że mobilizacja ma być przeprowadzona w ciągu trzech dni, a miejscem koncentracji jest Lublin.

14 LIPCA. W dzienniku „Ziemia Lubelska” ukazuje się wezwanie mobilizacyjne, które za „Wydział Mobilizacyjny” podpisuje o. Jacek Woroniecki. Oto jego treść: „Do młodzieży w wieku przedwojskowym. Wszyscy, którzy z racji wieku lub braku sił nie mogą dziś jeszcze pójść na front, wezwani są niniejszym do pełnienia służby garnizonowej. Zgłaszać się w Komendzie Harcer-

skiej (Lipowa 4 — od 10 do 13 i od 15 do 18), której Wydział Mobilizacyjny polecił zorganizować tych wszystkich chłopców, którzy do służby tej mogą być użyty, a do żadnej organizacji młodzieży dotąd jeszcze nie należeli”.

14—16 LIPCA. Do poszczególnych powiatów udają się wyznaczeni komisarze mobilizacyjni. Zmobilizowane grupy harcerek (w wieku od 17 lat) z powiatów południowych zbierają się w Zwierzyncu, a z powiatów północnych udają się bezpośrednio na miejsce koncentracji w Lublinie.

15 LIPCA. W koszarach południowych w Lublinie, zwanych też Obozem Południowym, gdzie są kwaterowani zmobilizowani z Lublina i Lubelszczyzny, znajduje się już 288 harcerek.

17 LIPCA. Do koszar południowych w Lublinie przybywa pod komendą Jerzego Kruszewskiego (obożny kursu instruktorskiego w Zwierzyncu) grupa około 120 harcerek z punktu zbornego w Zwierzyncu.

Ze zmobilizowanych harcerek (około 400, w tym prawie połowa z Lublina) tworzy się Batalion Harcerski w składzie 3 kompanii, którego dowódcą zostaje Kazimierz Grochowski, komendant Hufca Harcerzy w Lublinie. Po południu pierwsza kompania pod dowództwem instruktora ZHP, Je-

rzeżo Kruszewskiego, uczestniczy w manifestacji zorganizowanej przez władze miejskie na Placu Katedralnym, a następnie obejmuje warty w garnizonie i w mieście, zastępując kompanię Batalionu Wartowniczego Garnizonu Lubelskiego skierowaną jeszcze tej nocy na front.

18 LIPCA. Z Batalionu Harcerskiego odesłana zostaje na front pierwsza grupa starszych harcerek (43 lub 44) pod komendą Jerzego Kruszewskiego, która, owacyjnie żegnana przez społeczeństwo na dworcu kolejowym, odjeżdża do Warszawy. W grupie tej jest również autor pamiętnika, Aleksander Zygmunt Kielasiński (według niego, wyjazd nastąpił 17 lipca). W wykazie harcerek hufca lubelskiego służących w wojsku od lipca do listopada 1920 roku, sporządzonym przez Komendę Hufca w Lublinie w czerwcu 1921 roku, figuruje on jako Zygmunt Kulasiński z 4 LDH, przydzielony w Warszawie do 33 pp.

21 LIPCA. Z Batalionu Harcerskiego odjeżdża na front kolejnych 35 harcerek pod komendą Witka Felczarka, komendanta Hufca Lublin Prowincjonalny.

LIPIEC. Z Batalionu wydzieleni zostają harcerek w wieku poniżej 17 lat i oddelegowani do dyspozycji Wojewody Lubelskiego, Stanisława Moskalewskiego, gdzie pełnią służbę kurierów i łączników. Wśród nich są późniejsi komendanci Chorągwi Lubelskiej: Józef Ciszek i Tadeusz Kozłowski oraz przyszły komendant Hufca Harcerzy w Lublinie, Stanisław Moskwa (wszyscy trzej zginęli w okresie okupacji w Oświęcimiu).

15 najmłodszych „biskupów” pomaga harcerkom w prowadzeniu gospody dla żołnierzy i kiosków z pismami na dworcu kolejowym.

Dokończenie na str. 11

DEMOKRACI W ROLI STATYSTÓW

Janusz Wrona

OSTATNIE wydarzenia polityczne w kraju, związane z przyjęciem nowej formuły koalicyjnej, wpłynęły na zainteresowanie przeszłością dwóch partii politycznych — Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, traktowanych dotychczas przez opinię publiczną jako satelity Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

O powojennych dylematach ruchu ludowego i faktycznym rodowodzie ZSL interesująco pisał Antoni Mieczkowski („Relacje” nr 32, 33 z br.). Warto więc przypomnieć nieznane okoliczności, związane z tworzeniem i funkcjonowaniem po 1944 r. drugiej partii — Stronnictwa Demokratycznego. Obie organizacje polityczne razem z PZPR przez blisko 40 lat tworzyły system polityczny powojennej Polski, będący podstawowym wyróżnikiem systemu politycznego.

WROZWAŻANIACH politologów (jeszcze z drugiej połowy lat osiemdziesiątych) pierwszą fazą kształtowania się tego systemu, obejmującą lata 1944—1948, podsumowywana była następująco: „System polityczny 1944—1948 był przejrzysty [...], a równocześnie był to system socjalistyczny ze swej istoty” (E. Erazmus, Centralizm demokratyczny w socjalistycznym systemie politycznym. Zarys problematyki, Warszawa 1986, s. 110—111).

Na czym polegała „przejrzystość” systemu politycznego i co oznacza wyrażenie „socjalistyczny ze swej istoty”, autor szerzej nie wyjaśnia. Na pewno nie dostrzegamy też bardzo istotnej dwójki naszego systemu politycznego i gospodarczego od połowy 1945 r. do wyborów do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 r.

Istnienie dwóch układów rzeczywistości powojennej, których rozróżnienie i postrzeganie ma niezwykle istotne znaczenie dla analizy historycznej, bardzo trafnie przedstawił prof. Andrzej Jezierski: „Istniały jakby dwa układy. Jeden był pozorny, sugerował, że niewiele się w stosunku do okresu międzywojennego zmieniło — Bierut uczestniczący w mszach polowych, głośnia opozycja w KRN, pięcioprzmiotnikowa ordynacja wyborcza do Sejmu Ustawodawczego itp. Składały się na oficjalny obraz państwa suwerennego i demokratycznego. Lecz był drugi układ, w którym w kluczowych ogniwach państwa, jak wojsko, bezpieczeństwo, przemysł, władzę sprawowali przedstawiciele partii komunistycznej i ich radzieccy doradcy”. W konkluzji prof. Jezierski stwierdza: „Przez wiele lat zajmowaliśmy się w historiografii raczej układem pierwszym, rzeczywistością pozorną” („Trybuna Ludu” nr 170 z 21—23.07.1989).

Odbudowa i funkcjonowanie legalnego życia politycznego po 22 lipca 1944 r. związane były ściśle ze znalezieniem się Polski w rękach wpływów radzieckich. Dominacja ZSRR zaważyła na ostatecznych rozwiązaniach tej kwestii, przyjętych na konferencji jałtańskiej. Ustalono tam, że w przyszłych wolnych wyborach w Polsce będą uczestniczyć wszystkie demokratyczne i antyfaszystowskie partie. Historycy zwracają uwagę, iż to stwierdzenie było obraźliwe dla społeczeństwa polskiego, które nie kolaborowało z hitlerowskim faszyzmem. Stwierdzenie owo stwarzało natomiast Stalinowi możliwość, później w pełni wykorzystaną, niedopuszczenia do jawnej działalności części partii istniejących przed 1939 r. — pod zarzutem ich związku z faszyzmem (narodowa demokracja, część socjalistów, chadecja).

Koncepcja tworzenia i funkcjonowania nowego systemu partyjnego w Polsce zrodziła się w ZSRR. Oficjalnie firmowali ją przebywający tam polscy komuniści. Zakładała ona przebudowę wszystkich sił i ugrupowań politycznych (organizacyjną i programową) łącznie z wymianą dotychczasowych elit partyjnych. W Polsce miał powstać system wielopartyjny. Nową cechą tego systemu miała być dominacja partii marksistowskiej. Analiza materiałów źródłowych w pełni potwierdza tezę, iż uznanie kierowniczej roli komunistów w państwie było warunkiem sine qua non reaktywacji bądź dalszej działalności wszystkich powojennych ugrupowań politycznych w Polsce.

ZE wszystkich partii politycznych, które w 1944 r. stanowią zaplecze Polskiego Komitetu Narodowego, Stronnictwo Demokratyczne, co można uznać za paradoks, miało najbardziej korzystne warunki do adaptowania się w systemie politycznym tworzonym pod egidą PPR. SD było partią o niewielkich, zaledwie kilkumiesięcznych tradycjach działania przed 1939 r., formalnie ukonstytuowaną w kwietniu 1939 r.

Było wewnętrznie zróżnicowane politycznie, posiadało w swoich szeregach działaczy komunistycznych z rozwiązanej KPP. Podstawowe struktury organizacyjne Stronnictwa rodziły się dopiero po 1944 r., zaś przedwojenny program był zbliżony z ideami demokratycznego socjalizmu.

Powojenna odbudowa SD, jak wszystkich partii PKWN, odbyła się za zgodą i akceptacją polskich komunistów. Z ich inspiracji, wobec trudności politycznych, jakie ujawniły się jesienią 1944 r. w związku ze zwrotem październikowym PKWN, do naczelnych władz Stronnictwa wprowadzono komunistów, przedstawicieli PPR w osobie Leona Chajna, Jana Karola Wendego, a następnie Jana Rabanowskiego. Chajna i Wendego, na mocy decyzji Biura Politycznego KC PPR, mieli się stać niejawnymi członkami frakcji w PKWN. Istnieją przesłanki, że przedstawiciele PPR oddelegowano także do struktur okręgowych tworzącego się SD.

Związków z komunistami nie ukrywał również inny członek kierownictwa SD, późniejszy prezes Sądu Najwyższego, Wacław Barcikowski. W relacji złożonej w 1959 r. pisał, iż gdy znalazł się w 1945 r. w Radomiu, to chciał wstąpić do PPR: „Później, gdy przyjechałem do Warszawy, »Tomasz« [B. Bierut — przyp. J.W.] powiedział mi, że on uważa, żebym nie wstępował do partii, że lepiej będzie, jeśli pójdę do Stronnictwa Demokratycznego, które wówczas właściwie nie było jeszcze zorganizowane. Ja nie chciałem, bo orientowałem się przecież, jaki jest element w tym okupacyjnym Stronnictwie Demokratycznym, i wiedziałem, jaki był program na przyszłość”.

W ten sposób, już w latach 1944—1945, stworzono sytuację, która zabezpieczała interesy PPR. Stronnictwo — jak to określił L. Chajna w liście do sekretarza generalnego PPR Wł. Gomułki z 15 grudnia 1946 r. — „nie stwarzało cynnika hamującego realizację programu partyjnego — co w naszych warunkach jest dużym sukcesem”.

Wydarzenia z jesieni 1944 r. pokazały, że ówczesne kierownicze gremia komunistów, tworząc nowy model systemu partyjnego, były zdecydowane ingerować w wewnętrzne sprawy sojusznicych stronnictw (dotyczyło to także lubelskiego SL) i stosować wobec nich działania administracyjne, gdyby uznały, że rozwój sytuacji zagraża hegemonicznej pozycji PPR w systemie politycznym państwa. Działania te miały charakter przedsięwzięć niejawnych, zakulisowych. Czyżby więc miało to świadczyć o wspomnianej „przejrzystości” systemu politycznego?

FUNKCJONOWANIE SD spotykało się z różnymi ocenami i reakcjami kierownictwa PPR. Sygnalizował to L. Chajna, od 1945 r. niewątpliwy lider Stronnictwa, który we wspomnianym liście z grudnia 1946 r. pisał do W. Gomułki: „Czułem się odpowiedzialnym za powierzoną mi odcinek pracy i z całą świadomością stwierdzam, że przeszkadzano mi i przeszkadza się, że się świadomie zmierza do podrywania mojego autorytetu, że stosowano wobec mnie nietakty graniczące ze zwykłym chamstwem. Jeśli mówię o odpowiedzialności partii za taki stan rzeczy, to mam na myśli brak zainteresowania się poważnych czynników partyjnych zagadnieniem Str. Dem. i powierzenie tego dość skomplikowanego zadania w ręce towarzyszy do tego zupełnie nieprzygotowanych. Proszę mi wierzyć, że nie czuję się na siłach w tych warunkach ponosić odpowiedzialności za powierzoną mi odcinek pracy i nie kierując się żadnymi ambicjonalnymi przesłankami zmuszony jestem prosić Komitet Centralny o wyrażenie zgody na zrzeczenie się przeze mnie stanowiska Sekretarza Generalnego w Stronnictwie Demokratycznym natychmiast po wyborach”.

Prośba L. Chajna zostanie pozytywnie rozpatrzona dopiero w 1965 r. Obecność działaczy komunistycznych w kierownictwie SD nie miała większego wpływu na negatywny stosunek do Stronnictwa ze strony szeregowych członków PPR oraz aparatu szczebla wojewódzkiego i powiatowego. Centralne władze SD konstatowały w połowie 1947 r., że przynależność do Stronnictwa

wręcz szkodzi członkom w ich karierze zawodowej.

Zaniepokojenie kierownictwa SD budziło również systematyczne odsuwanie tej partii od wpływu na bieg wydarzeń w kraju. Protestując wobec tej sytuacji, w piśmie z 31 maja 1946 r. do W. Gomułki stwierdzano m.in.: „Ten szkodliwy stan w tak ważnym momencie rozprasza siły demokracji, wytwarza w opinii społecznej szkodliwe, a nieestetyczne przesvědzenie, że w Polsce rządzą tylko dwie partie, tj. PPR i PPS, przy dwu biernych satelitach (SD i SL — przyp. J. W.), i paraliżuje wszelkie poczynania Stronnictwa w terenie, spychając je do roli statysty, nie mającego żadnego wpływu na kształtowanie się życia. SD odczuwa to tym dotkliwiej, że będąc Stronnictwem koalicji rządzącej, a zatem współrządzającym i ponoszącym współodpowiedzialność za wszystkie poczynania Rządu a i jego członków, faktycznie rolę tej nie spełnia, albowiem wszystkie posunięcia polityczne w kraju przedsiębrane są poza sferą oddziaływania Stronnictwa”.

Historyk z niejakim zdumieniem konstatuje, iż współczesne wypowiedzi obecnego kierownictwa SD, po zawiązaniu koalicji z Solidarnością, odwoływały się do podobnych argumentów. A przecież minęły 43 lata...

ZARYSOWANE usytuowanie Stronnictwa Demokratycznego w powojennym systemie partyjnym miało także inne konsekwencje. Analiza źródeł ujawnia, że piastujący poważniejsze stanowiska państwowe członkowie SD byli personalnie dobiegani przez władze PPR, zaś rola statutowych ciał SD sprowadzała się do akceptacji powziętych na zewnątrz decyzji. W ten sposób stanowisko wiceprezesa Stronnictwa Prezydium KRN objął Romuald Miller, następnie zaś Wacław Barcikowski. Działacze SD stawali się figurantami, pełniącymi rolę szyldu, niezbędnego dla realizacji koncepcji komunistów. Niedwuznacznie wspomina o tym cytowany memoriał władz SD z maja 1946 r.

Klasykarnym przykładem była funkcja Wincen-tego Rzymowskiego jako ministra spraw zagranicznych. Trzeba tu dodać, że rola człowego działacza SD była tzw. tajemniczą poliszynelą; w 1945 r. obszernie przedstawiały ją biuletyny WIN. Ostatnio swoistej demistyfikacji roli W. Rzymowskiego w MSZ jako szefa resortu dokonał wspomniany W. Barcikowski, który spotykając się z Zygmuntem Modzelewskim, wiedział, iż to on faktycznie kieruje pracą Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Barcikowski pisze o tym następująco: „Wincenty Rzymowski skarżył mi się nieraz w zaufaniu na swoją rolę w Ministerstwie Kultury, a potem Spraw Zagranicznych [...]. Być może uzasadniona była taktyka partii, by powierzać osobom zaufanym, wypróbowanym jej członkom funkcje nadzorcze nad ludźmi o niedostatecznych kwalifikacjach politycznych, lecz potrzebnych z tych czy innych względów. Pozbawienie ich jednak decyzji, nawet w sprawach bez doniosłego politycznego znaczenia, nie było słuszne. [...] Rzeczmi podświadnie stawali się niejednokrotnie niepodzielnie panującymi dyktatorami. Ich formalnym zwierzchnikom pozostawało jedynie »nie wychylać się«. Musieli uważać, by nie zaćmić swoich rzeczywistych władz wobec ich mocodawców” (W. Barcikowski, W kręgu prawa i polityki. Wspomnienia z lat 1918—1956. Katowice 1988, r. 179).

Surowa dyscyplina obowiązywała także posłów SD w Krajowej Radzie Narodowej i Sejmie Ustawodawczym. Doświadczyl tego m.in. poseł Dobromir Osinski, którego pozbawiono mandatu w KRN za solidarność z członkami PSL na posiedzeniu Komisji Morskiej i Handlu Zagranicznego.

Trzeba tu zaznaczyć, iż w wyborach do Sejmu Ustawodawczego kandydatów na posłów z ramienia SD obowiązywała ostra selekcja personalna, dyktowana poparciem lub jego brakiem dla linii politycznej L. Chajna. Siegała ona tak daleko, że kandydaci przedstawiali władzom podpisaną in blanco deklarację o zrzeczeniu się pierwszeństwa na liście wyborczej na rzecz następnego kandydata deklarację o pozostawieniu mandatu do dyspozycji ściślej kierownictwa, wręczcie deklarację o zrzeczeniu się mandatu poselskiego. System zabezpieczeń przed wyborem „nie właściwego” kandydata wykluczał możliwość niespodzianek w Sejmie. Na jego forum od 1949 r. praktyką stania się uzgadnianie wszystkich wniosków i dezyderatów z PZPR.

Funkcjonowanie systemu politycznego w Polsce po II wojnie światowej skupiało niczym sekretka najważniejsze elementy rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej. W ramach tego systemu stworzono mechanizmy wylaniania elit przywódczych w państwie oraz nadano określone treści i ramy pojęciu demokracji. Dziś, w dobie zmian i orzwartosciowań całego systemu, trzeba odnosić się do realnego układu mechanizmów funkcjonujących w państwie, odrzucając rzeczywistość ponorną, tak niegdyś ulubioną przez wielu historyków.

PRZED nie tak znowu wielu laty Ktoś (bez wątplenia był to „ktoś” z dużej litery) wpadł na pomysł, aby przodowników pracy delegowanych przez przedsiębiorstwa przyjmować na studia bez egzaminu, po zaliczeniu tzw. roku zerowego. W tychże czasach uważano edukację ekonomiczną — siły wytwórcze + stosunki produkcji = sposób produkcji, $c + v + m =$ wartość, $M:V =$ (w zależności od potrzeb) stopa wyzysku lub stopa świadczeń ogólnospołecznych itd. — za istotny element konstytuujący nowego, socjalistycznego inteligenta pracującego.

Z lat tych pozostała mi w pamięci następująca historyjka. Pytałem jednego z przyszłych nawigatorów gospodarki i szło mi niesporo. Nie umiałem zadać takiego pytania, na które ów Nikodem Dyżma gospodarki planowej potrafiłby odpowiedzieć. Zrozpaczony, sięgnąłem do najostatniejszych rezerw: „A co Pan wie — zapytałem — o zasadach podziału w socjalizmie”. Trafiałem. Zmarszczył na niewysokim czole wyprostowały się, w oku pojawił się błysk triumfu. „Wiem! — zawołał. — Wedle uwazania albo po sprawiedliwości”.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że prostaczek ów znalazł najlepsze słowa dla opisu rzeczywistości dystrybucyjnej realnego socjalizmu. Zaiste to, co działo i dzieje się we wszystkich — jak mawiają nasi ministrowie — „segmentach” tzw. rynku (podział pieniężny, ceny, rozdzielnictwo dewiz i środków produkcji, przydział „maszyny mięsnej” na województwa i talonów na zaporozce) odbywało się nieodmiennie w myśl zasady „wedle uwazania”. Nikt, totalnie nikt, a już ekonomiści najmniej, nie mógł wyjaśnić, dlaczego w miejscowości X budowano hutę, dlaczego Kowalski zarabia więcej niż Malinowski, kalesony kosztują tanio, a podkoszulki drogo. To znaczy nikt nie potrafił wyjaśnić tego, posługując się rachunkiem ekonomicznym czy zwykłą logiką. Dopiero zastosowanie logiki dialektycznej czyniło oczywistość oczywistą.

Społeczna reakcja na zasadę „wedle uwazania” było domaganie się „sprawiedliwości”. Nie bacząc na stary spór między liberałami amerykańskimi (sprawiedliwość dystrybucyjną) i europejskimi (sprawiedliwość komutacyjną), zbiorowy hegemon rozumie pojęcie to jednoznacznie, jako likwidację przywilejów (nieuzasadnionych oczywiście, ale jakie przywileje są uzasadnione?) i rozdział wszystkiego po równo. Kiedy wszyscy mieć będą rowery, dopiero wówczas ktoś (najlepiej ja) może „dostać” motocykl. Każdemu po równo, a mnie jeszcze trochę.

Powyzsze stwierdzenie uznane będzie przez wielu za fałszywe i ubliżające godności Polaka. Dlatego z góry odpieram zarzuty.

Krytyka będzie dwutorowa. W wersji silniejszej zanegowany zostanie sam fakt występowania takiej zbiorowej świadomości. Tu odpowiadam tylko jednym, ale wystarczającym, sędzą, przykładem. Gdy w latach 1980-1981 chciano gdzieś wywołać strajk, w dwóch sąsiadujących zakładach „uru-

chamiano” podwyżki. W jednym o sto złotych, w drugim o złotych pięćdziesiąt. Nie było przypadku, aby ten drugi zakład nie zastrajkował i to bez względu na sytuację polityczną. Na podchwytliwie próby wygaszenia strajku („Ludzie, co robicie — strajkujecie o pięćdziesiąt złotych”) nieodmiennie padła odpowiedź: „Nie chodzi o pieniądze, a o sprawiedliwość”.

Argument słabszy dotyczy etiologii zjawiska „każdemu po równo” i jest prawdziwy. Jest oczywiście, że ideologia komunistyczna — co najmniej — współtworzyła preję w kierunku urawniłowki. Ze stwierdzenia tego jednak nic literalnie nie wynika. Nic. Także wiara w to, że kres ideologii komunistycznej, czy też nawet realnego komunizmu, oznaczać będzie kres takich postaw. Ludzie są bowiem konserwatywni (nawet w swojej postępowości) i raz uruchomione me-

chanizmy psychospołeczne trwają znacznie dłużej niż idee, które je wywołały.

Sprawiedliwość - brakoflacja - stan wojenny?

CO NAS CZEKA...

Ziemowit Michalski

chanizmy psychospołeczne trwają znacznie dłużej niż idee, które je wywołały.

Nie sądzę także, aby ktokolwiek poważnie potrafił zakwestionować drugi człon wysuwanej tutaj tezy. Idzie w nim o to, że istotna większość obywateli PRL równolegle z żądaniem rozdziału wszystkiego po równo wcale nie jest od tego, żeby w miarę swoich możliwości coś jeszcze dla siebie „załatwić”, „zorganizować”, „użytkować” itd. (eufemizmy są tutaj różne, a w gruncie rzeczy chodzi po prostu o to, żeby coś — w najgorszym wypadku oplacony przez pracodawcę czas — ukraść). I znowu nie trzeba mnie przekonywać, iż ryba śmierdzi od głowy. Ze z działan takich przede wszystkim korzystają dostojnicy systemowi (to ja spopularyzowałem w Polsce określenie „kleptokracja”), ale powtórzę: nie, a nic z tego nie wynika. Poza tym, że mamy drobne złodziejstwo i bałagan na nie spotykaną w cywilizowanych krajach skalę, oraz tym, że w warunkach takich normalne społeczeństwo normalnie funkcjonować nie może.

Jeżeli, odkładając na bok usprawiedliwienia, zgodzimy się, że przedstawione powyżej zjawiska istnieją, to obowiązkiem naszym staje się poszukiwanie skutecznych środków ich zwalczania. A jak na razie zło śpi spokojnie i może spać tak jeszcze długo. A to dlatego, że jest stanem powszechnym (lamaniem wszelkich norm stało się normalną) i że żyjąc uczciwie, praktycznie żyć (ani umrzeć — proszę spróbować załatwić miejsce na cmentarzu) się nie da.

Materiałną bazą (coś mi jednak z tego marksizmu zostało) zła jest oczywiście powszechny niedobór wszy-

stkiego. Z tego wynika wnioszek prosty, że bez wprowadzenia gospodarki, w której ilość pieniądza określona jest przez prawo Fishera (wartość dóbr, oszczędności i świadczeń), uczciwego społeczeństwa restytuować się nie da. Jest to jednak dopiero warunek konieczny. Ale niewystarczający. Z materialną bazą nierozdzielnie spleciona jest bowiem społeczno-ideologiczna nadbudowa. Przy utrzymaniu zasady „każdemu po równo” nie da się od stworzyć stanu równowagi. I nawet szerzej — nie da się tego zrobić bez złamania zasady prymitywnie pojmowanej sprawiedliwości.

W tym miejscu logika wywodu wymagałaby sformułowania listy postulatów czy wręcz zadań do wykonania dla poszczególnych aktorów polskiej sceny. Miejsce tu na zdania, iż miłościwie panująca nam Pezetpeer powinna... a Solidarność musi... itd. Wątek ten jednak pomijam. I nie jest to u-

cieczka. Wbrew pozorom uważam, że na temat, co należy zrobić, powiedziano już bardzo wiele. Rozsądnych programów przebudowy własnościowej, rozbicia struktur monopolistycznych, uruchomienia mechanizmów proefektywnościowych napisano wiele. Nic lub prawie nic z tego (a półśrodek dają cztererezultaty) nie wkroczyło w fazę choćby przygotowań do realizacji. I nic mi nie da, że winą za ten stan bardziej mogą obciążać generała Jaruzelskiego niż generała, który kazał największej armii świata przez szesnastcie miesięcy spać w butach.

Chcę natomiast na zakończenie przedstawić możliwe scenariusze rozwoju wydarzeń. Dostrzegam trzy możliwości: scenariusz „nic”, scenariusz „kolaps” i scenariusz „stan wojenny”. Scenariusz „nic” (się nie zmienia) pozornie jest teoretycznie niemożliwy. Teoretycznie w tym sensie, że nie było do tej pory społeczeństwa, które spokojnie dryfowało w kierunku totalnego rozkładu gospodarki, likwidacji normalnej wymiany i dewastacji norm moralnych. To, że nic takiego się nie wydarzyło do tej pory, to jeszcze nie dowód. W końcu możemy by pierwsi. Bo przecież: Zachód nas zdradził, wszystkiemu winni są komuniści, mamy rację, a na dodatek jesteśmy Chrystusem narodów i przedmurzem Europy. Nie znane są granice adaptacyjności społeczeństw do najbardziej nawet dziwacznych warunków egzystencji i być może to my jesteśmy psem Pawłowa skrzyżowanym z miczurinowską jabłonką.

Scenariusz „kolaps”, sformułowany niedawno przez profesora Andrzej Kozłowski, tym różni się od poprzedniego, że kwestia, czy ludzie owo staczenie wytrzymują, nie jest w nim rozważana. Można bowiem przy-

puszczać, że nie wytrzyma tego ludzki wytwór, jakim jest pieniądz. Jest możliwe, a przy obecnym tempie inflacji wielce prawdopodobne, że do początku lat dwudziestych. Deprecjacja pieniądza doprowadzi do sytuacji, że znaczek pocztowy kosztować będzie cztery miliardy złotych. Wtedy oszczędności praktycznie przestaną istnieć i wymiana pieniądza (a praktycznie jego unieważnienie) przyjęta zostanie przez ludzi z ulgą. Jedno pytanie wydaje się być tutaj istotne, a mianowicie, jaki system wyłoni się z tego trzęsienia ziemi. Jeżeli taki jak poprzednio, to niczym gorale ze starego dowcipu, darmo się gówna ojemy.

I wreszcie scenariusz „stan wojenny”. Muszę wyjaśnić bliżej to pojęcie. Jeżeli zdefiniujemy je przez typowe środki, jakimi posługuje się władza po jego ogłoszeniu (zawieszenie prawa, swobód obywatelskich, za-

blokowanie mechanizmu rynkowego i zastąpienie go przez decyzje dyskrecjonalne i rozdzielnictwo — a wszystko to wymuszone poprzez przymus bezpośredni), to nie będzie przesadą stwierdzenie, że stan taki wprowadzony na ziemiach polskich we wrześniu 1939 roku i trwał (trwa?) z różnym następnym przez lat pięćdziesiąt. To co nowe w dzisiejszej sytuacji, to możliwość, że przynajmniej niektóre jego elementy (choćby kartki) mogą wprowadzone być dzisiaj na „społeczne żądanie”. I niekoniecznie owo „społeczne żądanie” musi być kalką propagandową.

Skoro, jak twierdzę, stan wojenny nie jest dla nas specjalną nowością, to można się go specjalnie nie obawiać. Przywykliśmy. Można jednak mniemać, że jego rezultaty byłyby takie same jak poprzednio. Dwie przesłanki skłaniają do takiego wniosku. Po pierwsze, stan wojenny — który rzeczywiście mógłby przynieść pewne zrównoważenie gospodarze — uruchamia dyskrecjonalnie mechanizmy polityczne i ekonomiczne, z których wychodzi się bardzo trudno (a zresztą po co z nich wychodzić). Po drugie, wszystko — stan wojenny też — robią ludzie. A ci, którzy gotowi byłiby go wprowadzić, nie wydają się najbardziej chętni i najbardziej kompetentni do przeprowadzenia poważnych zmian. Ergo, po ośmiu latach niniejszy tekst byłby jak znalazł i można publikować by go bez większych zmian.

Z przedstawionej wycieczki wynika, że każdy z rozważanych scenariuszy jest zły. Czy więc oznacza to, że nie ma żadnego wyjścia z polskiego zaułka?

A przecież są jeszcze na świecie normalne kraje!

JESZCZE O „WAKACJACH Z BRONIĄ 1920”

Dokończenie ze str 8—9

Z pozostałych 212 harcerzy (około 50 z Lublina) tworzy się Harcerski Batalion Wartowniczy pod komendą Kazimierza Grochowskiego. Obowiązki podoficerów pełnią zastępowi. Jako instruktorzy pozostają w Batalionie druhowie: Jan Dobrzyński, Zygmunt Puławski i Franciszek Krzysztoń.

SIERPIEŃ. W początkach miesiąca wszyscy młodszy chłopcy zostają odesłani do domów.

Z Batalionu zostaje wydzielona kompania w liczbie 142 harcerzy i przydzielona do grupy majora Zwisłockiego, mającej za cel obronę Lublina przed wojskami Budionnego. Po odparciu wojsk radzieckich (bez czynnego udziału harcerzy) kompania nadal pełni służbę wartowniczą.

WRZESIEŃ. Batalion zostaje przemianowany w tzw. Lubelską Kompanię Harcerską, w skład której wchodzi 111 harcerzy, w tym 96 w wieku od 17 do 19 lat. Szefem Kompanii jest Jan Dobrzyński, a plutonowymi Zygmunt Puławski (3 LDH) i Franciszek Krzysztoń (4 LDH).

30 WRZESNIA. Kompania otrzymuje rozkaz udania się do II Dywizji Legionów stacjonującej w Zamościu.

PAŹDZIERNIK. II Dywizja zostaje przerzucona na front północny i tam też zostaje skierowana Lubelska Kompania Harcerska. Cały tydzień jedzie pociągiem z Lublina do Białegostoku. Dociera do Strubnicy, skąd po 5 dniach udaje się do Mołodeczna, przemierzając pieszo trasę około 300 km.

Pod Mołodecznem odbywa się przegląd Kompanii przez dowódcę dywizji, płk. Michała Żymierskiego, który, oglądając borse mogli żołnierzy, powiedział: „Szkoła, że przyszliście za późno, bo już został podpisany preliminarz pokojowy”.

LISTOPAD. Po kilkudniowym postoju w Mołodecznie Lubelska Kompania Harcerska przemaszerowuje w stronę Lidy i powraca do Lublina, gdzie 13 listopada zostaje rozformowana.

Wykaz harcerzy z Lublina, którzy w okresie od lipca do listopada 1920 roku służyli w jednostkach frontowych i Harcerskim Batalionie Wartowniczym w Lublinie.

Instruktorzy: Dobrzyński Jan, Felczerek Wit, Gołębiowski Zdzisław, Grochowski Kazimierz, Kruszewski Jerzy, Puławski Zygmunt.

1 LDH przy Gimnazjum im. Stanisława Staszica: Cieślak Michał, Golonka Julian, Jankiewicz Kazimierz, Maj Karol, Matras Franciszek, Siedlecki Zygmunt, Słęk Zbigniew, Tułodziecki Ludomir, Wielgusiak Kazimierz, Wójtowicz Władysław, Wójtowicz Wojciech, Wrzosa Tomasz.

2 LDH przy Szkole Lubelskiej im. Stefana Batoro: Bartkiewicz Jan, Blimke Fryderyk, Chłasiński Józef, Chrościel Grzegorz, Dąbrowski Czesław, Dygala Stanisław, Gawęda Józef, Grabowski Franciszek, Grzebalski Stefan, Janik Jan, Kaczanowski Wacław, Kozak Stanisław, Krywowski Eugeniusz, Książek Aleksander, Lis Bolesław, Magierski Stanisław, Morszczyna Edward, Panas Boguchwał, Pleščczyński Stanisław, Pleščczyński Tadeusz, Raczyński Józef, Raćkowski Janusz, Rogoziński Jan, Rostworowski Tomasz, Słomczyński Stefan, Supryn Stanisław, Szczęcha Bolesław, Szymański Wacław, Tracz Bartłomiej, Telesiński Henryk, Wagner Jerzy, Wajcenblił Marian, Wal Stanisław, Wędrychowski Bolesław.

3 LDH przy Szkole Handlowej im. A. i J. Vetterów: Czarnoluski Józef, Czech Bogumił, Enskajt Mieczysław, Figiel Wiktor, Jasiewski Bolesław, Kalicki Kazimierz, Kalicki Michał, Komacki Jerzy, Kotkowski Jerzy, Lecewicz Kazimierz, Lewinson Fabian, Lipowicz Tadeusz, Łuczyczyński Marian, Niedziela Zygmunt, Paździór Bolesław, Pec Walerian, Sankowski Wojciech, Sauter Feliks, Słomiński Stefan, Stocki Tadeusz, Terlecki Romuald, Wierciński Józef, Wierciński Kazimierz.

4 LDH przy Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego: Czerkowski Edward, Fyuth Lucjan, Giel Edward, Grochowski Zygmunt, Grządka Feliks, Jasiński Tadeusz, Kozłowski Witold, Krzysztoń Franciszek, Kulaszowski (Kielasiński) Zygmunt, Łabędzi Ignacy, Malec Piotr, Mogielnicki Stanisław, Pogorzelski Stanisław, Prawokoński Marian, Prokopowicz Wawrzyniec, Ruciński Aleksander, Ruciński Władysław, Sadowski Stanisław, Spisacki Walerian, Stepanek Ignacy, Sulczyński Feliks, Szych Kazimierz, Trejgiel Stefan, Typiak Tadeusz, Winiarski Bolesław, Wójtowicz Stanisław.

5 LDH przy Szkole Rzemieślniczej: Anulewicz Antoni, Anulewicz Stefan, Binienda Czesław, Buzak Stanisław, Dąbkowski Władysław, Drażek Wincenty, Dudkiewicz Józef, Fiutko Wacław, Folak Michał, Jaworowski Stanisław, Kamiński Jan, Kempński Stanisław, Kiciński Jan, Kolosa Robert, Kopeć Jan, Kubala Kazimierz, Lulek Ignacy, Łakota Józef, Marczewski Wacław, Moskal Jan, Nieciecki Wacław, Pędzisz Kazimierz, Pietrzyk Jan, Pietrzyk Stefan, Pilszczyski Mieczysław, Przymyski Wacław, Puderecki Albin, Sagan Władysław, Strus Jan, Szczepanek Stanisław, Tarkowski Stanisław, Bobolewski Rajmund, Turek Stanisław, Turzyński Bolesław, Wądowski Józef, Wrona Bolesław, Wydra Jan, Zontag Antoni.

6 LDH przy Seminarium Nauczycielskim: Janczala Józef, Jęczeń Piotr, Królikowski Witold, Mazur Antoni, Mazurek Ludomir, Mieszkowski Witold, Postowicz Marian, Wójtowicz Edward.

Jesień 1939

Zbigniew R. Muszyński

JAK wspomniano w pierwszej części artykułu, armia radziecka, kilkanaście dni w kierunku Sana, rozciąła w ostatniej dekadzie września Lubelszczyznę, rozdzielając jednostki W.P., walczące na południu i północy województwa, i uniemożliwiając przemieszczanie się oddziałów i mniejszych grup wojska w kierunku granicy węgierskiej. Rozszerzenie linii wojsk radzieckich na północ i południe oraz dążenie do okrążenia poszczególnych ugrupowań W.P., nazywanych w komunikatach dowództwa Czerwonej Armii „bandami polskimi”, doprowadziło w kilku miejscowościach Lubelszczyzny do potyczek i walk z najeźdźcą ze wschodu.

Jednostki radzieckie, dające od 20 września do zajęcia środkowej Lubelszczyzny, wchodziły w skład frontu ukraińskiego, dowodzonego przez komandarma I rangi, Siemiona K. Timoszenkę. Szefem sztabu frontu był komdiw N. F. Watutin, komisarzem politycznym Nikita S. Chruszczow.

Tereny środkowej Lubelszczyzny zajmowała 5 armia, stanowiąca północną prawoskrzydłową część frontu. Wkraczała ona do Polski z rejonu Nowogrodu Wołyńskiego. Dowódcą 5 armii był komdiw Iwan G. Sowiennikov. Przez Równe (17 września), Łuck (18 września), Włodzimierz Wołyński (19-20 września) i Kowel (21 września) armia dotarła do Chełma (22 września), Krasnegostawu (23 września), Zamościa (24 września) i ruszyła w kierunku Sana. Armie tworzyły dwa korpusy: 8 korpus piechoty składający się z 44, 46 i 89 dywizji strzeleckich, 15 korpus piechoty złożony z 7, 45 i 60 dywizji strzeleckich oraz 3 brygady czołgów lekkich. Według innych opracowań, armia składała się z ośmiu korpusów kawalerii i dwu brygad pancernych, a współdziałało z nią 15 samodzielnych korpusów kawalerii. Ta ostatnia informacja budzi jednak bardzo poważne wątpliwości, chociażby tylko na podstawie — przytoczonego w pierwszej części artykułu — opisu jednostek wkraczających na teren powiatu krasnostawskiego.

Z armią tą weszły w styczność i walczyły: w Wytyczynie i Wólce Wytyckiej grupa wojsk KOP, dowodzona przez gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna, oraz w rejonie Krzemienia i w lasach jaenowskich, grupa płk. T. Zieleniewskiego.

Od północnego wschodu wkradła się na Lubelszczyznę 4 armia, wchodząca w skład frontu białoruskiego dowodzonego przez komandarma II rangi, Michaiła P. Kowalowa, i szefa sztabu frontu komdiwa M. A. Purkajewa. Armia ta, dowodzona przez komdiwa Wasilija I. Czujkowa, skoncentrowana nad granicą polską w rejonie Stucka, składała się z dwu korpusów piechoty (5 i 23) i 29 brygady czołgów lekkich. W skład 5 korpusu piechoty wchodziły 4, 13 i 33 dywizje strzelców, a w skład 23 korpusu — 93, 109 i 152 dywizje strzelców.

Jednostki 4 armii zajęły Baranowicze (17 września), Prużanę (19 września), przejęły od Niemców Brześć (20-22 września) i weszły na północną Lubelszczyznę (Biała Podlaska 22 września, Międzyrzec 23 września, Łuck 24 września). Z kierunku północnego (od Wisznicy) weszły w kontakt bojowy w rejonie Puchowej Góry, Jabłoni i Milanowa z północną osłonową częścią SGO „Polesie”, dowodzoną przez płk. A. Eplera.

WALKI 60 DP NA PODLASIU

Po koncentracji, dwudniowym odpoczynku (17-18 września) i reorganizacji wojsk Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, dowodzonej przez gen. bryg. Franciszka Kleoberga, z rejonu Włodawy i lasów włodawskich wyruszyła, wchodząca w skład tej grupy, 60 rezerwowa DP płk. art. Adama Eplera (dawna dywizja „Kobryń”). Przemieszczała się 20 września przez Żuków — Mosty — Opole-szosa, a następnie traktem na Jabłoń, stanowiąc prawie osłonowe skrzydło głównych sił SGO „Polesie”, które podążały przez Parczew, Siemień i Czemierniki, kierując się pod Kock.

Dywizja składała się z trzech rezerwowych pułków piechoty (182, 183 i 184), samodzielnego batalionu 179 pp oraz „batalionu morskiego” ze spieszonych marynarzy Floty Pińskiej,

wcielonego do 182 pp (jako 3 batalion). Ogółem dywizja liczyła 8 batalionów piechoty, 3 baterie artylerii i oddziały dyspozycyjne (kawaleria dywizyjna, oddział zwiadowców, kompania strzelców, kompania ckm, kompania łączności, zmotoryzowana kompania ppanc. i zmotoryzowana kompania saperów oraz służby).

W odległości ok. trzech kilometrów na pd. wsch. przed Jabłonią, w małej wiosce (wówczas 16 gospodarstw) Puchowa Góra, napotkano 29 września w godzinach przedpołudniowych jednostki Armii Czerwonej, która dotarła w ten rejon od strony Wisznicy. Były to południowe ubezpieczenia radzieckiej 4 armii, wchodzącej na północną Lubelszczyznę od strony Brześcia. Maszerujący w strażach przedniej czołowej, pierwszy batalion 182 pp, dowodzony przez mjr. Tadeusza Bandołę, wraz z trzecim batalionem marynarzy pod dowództwem kmr. pp. Stefana Kamińskiego rozwinęły się z kolumny marszowej, uderzyły na wieś i wyrzuciły z niej oddziały radzieckie, które wycofały się w kierunku Jabłoni, nie starając się opóźnić marszu jednostek polskich.

W walce pod Puchową Górą obydwie strony poniosły straty w ludziach. Ze strony polskiej poległ ze 182 pp m. in.: strz. Pelagiusz Baranowski, strz. Stefan Hawiński (11

komp.), pp. rez. Bogdan (Bobdan?) Witold Stefan Mościcki — z-ca d-cy II plutonu i kompanii, strz. Wacław Wysocki (I komp.). W niektórych opracowaniach spotykane są informacje, iż w walkach o Puchową Górę poległ również: pp. rez. Rafał Górecki — d-ca II plutonu i kompanii, kpr. Jan Kuszyk (Kusyk?) — I komp., kpr. Kazimierz (Karol?) Szluft — I komp.

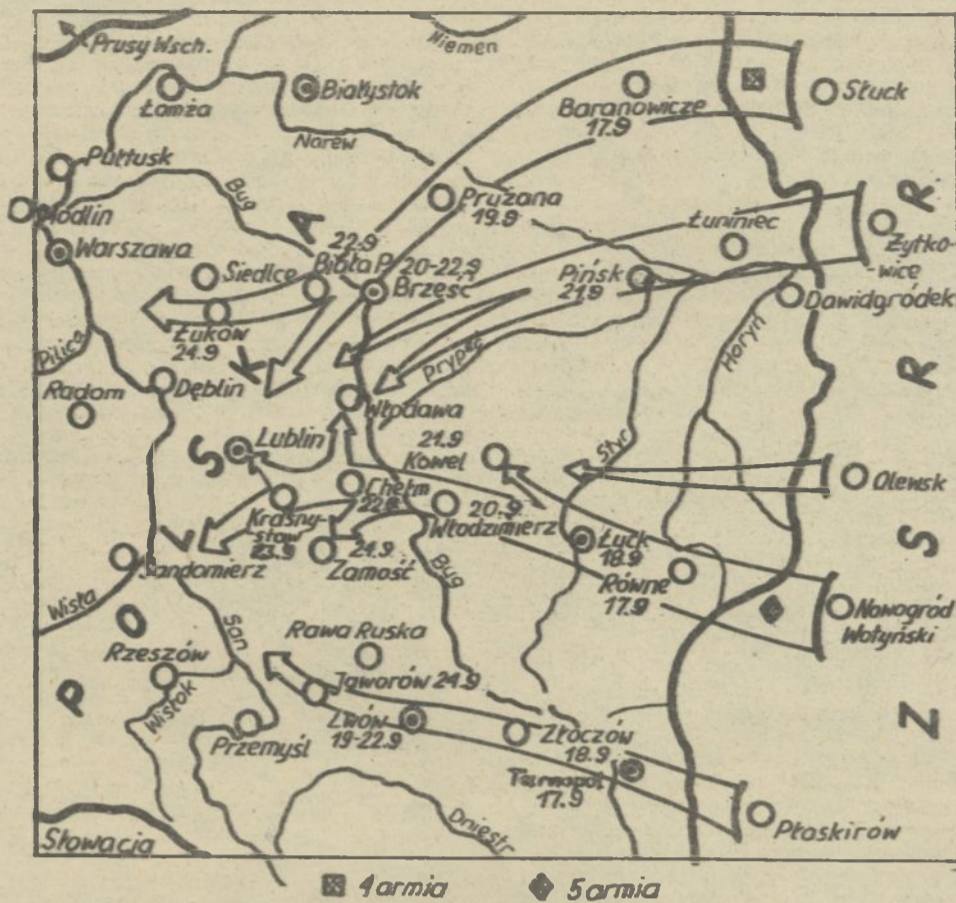
Według innych informacji (m.in. bardziej prawdopodobnych relacji płk. A. Eplera — kpr. J. Kusyk (Kusyk?) i kpr. K. Szluft nie poległ pod Puchową Górą, lecz zostali ujęci przez Armię Czerwoną tego samego dnia w godzinach popołudniowych (wieczornych?) w Jabłoni i rozstrzelani w lasku obok szosy. „Pod laskiem jakiś gospodarz kopał grób. Obok leżały dwa zmasakrowane trupy w polskich mundurach — byli to dwaj zdemobilizowani gdzieś podoficerowie, wracający do domów po skończonej wojnie” (z relacji płk. A. Eplera). Ppor. R. Górecki poległ natomiast w drugiej fazie walki, tj. przy wypieraniu Armii Czerwonej z Jabłoni, a nie w czasie ataku na Puchową Górę. Poległych było więcej. Pełna lista nazwisk poległych, a nawet ich dokładna liczba nie zostały ustalone.

Polegli i zamordowani pochowani zostali (kiedy i przez kogo?) na północno-wschodnim skraju cmentarza parafialnego w Jabłoni. Oprócz wymienionych wyżej są tam podobno pochowani także żołnierze (6 osób?) o niestwierdzonych nazwiskach, w tym również poległ pod Puchową Górą (ilu?). Miejsce pochówku czerwonarmistów poległych w obronie Puchowej Góry nie jest znane. Podobno jakieś groby poległych tam (Polaków, Sowieców?) znajdują się w Paszenkach (3 km pd. wsch. od Puchowej Góry). Liczymy na pomoc mieszkańców w rozwikłaniu tych zagadek.

Około południa czołowe oddziały dywizji doszły pod Jabłoń, gdzie Armia Czerwona stawiała poważniejszy opór. Oddajny głos płk. Eplera:

„Okazało się, że cała wieś jest obsadzona przez piechotę z bronią maszynową. Poza zabudowaniami widać czołgi, kręcący się ciężarowe samochody. Nasze siedemdziesiątka piątka wzięły je pod ogień z dobrym skutkiem.

Tymczasem 182 pułk przystąpił do natarcia. Jego czołowy batalion uderzył wzdłuż drogi z Puchowej Góry do Jabłoni, obejmując swym skrzydłem także tamtejszy dwór. Batalion marynarzy Floty Pińskiej przedłużył



Glównie kierunki natarcia wojsk radzieckich na Lubelszczyznę (obok nazw miejscowości — daty wkroczenia Armii Czerwonej).

ARMIA CZERWONA

jego skrzydło i uderzył na północną część wsi. Piechota wchodziła właśnie w szeroką dolinę, gdy odezwały się sowieckie lekkie działa, ale poza podpaleniem kilku stert ze zbożem nie wyrządzały szkód.

Gdy bataliony przekroczyły szosę Wisznicy — Parczew, ze wsi wyjechały czołgi, ostrzelane natychmiast ogniem działa ppanc. i przeciwpancernych karabinów. Piechota rzuciła się na czołgi z granatami, przy czym poległ na czele swego plutonu podporucznik rezerwy Rafał Górecki z I kompanii. Czołgi zawróciły, oprócz jednego, uszkodzonego, z którego wymontowano potem uzbrojenie. Żołnierze szli do ataku jak na polu ćwiczeń, choć padali już pierwsi ranni i zabici. Bolszewicy z uporem bronili się we dworze, ale oskrzydleni, wycofali się bezładnie na wieś, zostawiając zabitych, rannych i jeńców. Nasze działa 75 mm skutecznie zwalczały zaobserwowane cele ogniem bezpośrednim.

Do wsi dotarł też i batalion marynarzy. Z jej zabudowań i zarośli wysypały się pojazdy i grupy piechurów, pospiesznie uciekając w kierunku Wisznicy, ścigane dalekim ogniem naszej artylerii. Trwała jeszcze walka o wieś, gdy nadleciał klucz sowieckich samolotów. Zrzuciły lekkie bomby na Puchową Górę, a potem skierowały się na Jabłoń i obniżając lot, siekły ogniem broni pokładowej. Zapadał wieczór, milkiły strzały. Wieś była w naszych rękach. Prowadzono jeńców, szli nasi ranni strzelcy. [...] Pułk obsadził wieś i pobliskie zagajniki, zamykając szosę z kierunku Brześcia. Zdobyto jeden czołg, kilka cekaemów, kilkadziesiąt karabinów, w tym dwa z lunetami.

U bolszewików panował nadal silny ruch, słychać było warkot motorów. Artyleria rozpoczęła ostrzał wsi, zapalając kilka zabudowań. Wskazywało to na przybycie posiłków i zaczepne zamiary nieprzyjaciela. Rzeczywiście, około godziny 20 przy świetle palących się zabudowań i kilku reflektorów ruszyła czerwona piechota i czołgi. Wywiązała się ząbarta walka. Czołgi przejechały przez wieś, wpadły na kuchnię batalionu, rozbiły dwie z nich i kilka wozów, po czym zawróciły z powrotem. Sowiecka piechota wdarła się miejscami do wsi, nie potrafiła jednak wyrzucić z niej naszego batalionu. Walka szybko zamartała.

W walkach w Jabłoni zostało podobno zabitych kilkudziesięciu czerwonarmistów, a do niewoli Polacy wzięli jednego oficera i około pięćdziesię-

ciu szeregowych. Oprócz zdobycia czołgu, zniszczono samochód dowództwa. Informacje te potwierdza częściowo mosiewska „Prawda” (z 8 października 1939 r.), gdzie w artykule przedstawiającym bohaterstwo pewnego oficera wojsk pogranicznych, walczącego ze swym oddziałem na terenie Polski, przyznano, że pod wsią Jabłoń Polacy unieszkodliwili jedną tankietkę i spalili (pociskami zapalającymi) samochód sztabowy, w którym znajdowały się dokumenty batalionu. Wspomniano też, że oddział walczący pod Jabłoni miał pięciu zabitych i sześciu rannych. O wziętych do niewoli nie ma w artykule mowy. Według niesprawdzonych informacji podobno część wziętych do niewoli czerwonarmistów wyraziła chęć wcielenia ich do oddziałów polskich, na co wyrażono zgodę. Z kapitulującymi wojskami SGO „Polesie” poszli ponoc do niewoli niemieckiej.

Strona polska również poniosła straty pod Jabłonią. M.in. wspomniani są trzej żołnierze (NN), którzy poległ w pobliżu kuchni polowych w czasie ataku radzieckich czołgów. Płk. Epler także wspomina zabitych w czasie ataku 182 pp na Jabłoń. Ze względu na niepełność informacji wymaga to jeszcze zebrania danych przy pomocy mieszkańców Jabłoni, pamiętających te wydarzenia. Istotną byłaby również informacja, dlaczego pewna część poległych jest znana, a pozostali, pochowani w tym samym grobie i chyba w tym samym czasie (?), występują jako nieznanzi. Czy przypadkiem ich dokumenty nie zostały zniszczone przez zwycięzców, jak to miało miejsce w Wytyczynie? (Będzie o tym dalej). Polacy poległ pod Jabłonią pochowani są we wspomnianym wspólnym grobie na cmentarzu parafialnym. Gdzie zostali pochowani żołnierze Armii Czerwonej, nie udało się dotychczas ustalić.

WALKI PODLASKIEJ BRYGADY KAWALERII

Pod Jabłonią znalazły się również oddziały Podlaskiej Brygady Kawalerii, dowodzonej przez gen. bryg. Ludwika Kmiecica-Skrzyńskiego. W czasie patrolu koło lasu Smuga (pd. zach. od Jabłoni, przy drodze w kierunku Parczewa) ciężko ranny został ułan z tej brygady, Franciszek Frankowski. Zmarł następnego dnia i pochowany został razem z innymi w zbiorowym grobie na cmentarzu w Jabłoni.

Podobno w rejonie wsi Czeberaki (lub dalej na zachód od niej) idący w straży przedniej 5 pułk Ułanów Zastawskich stoczył 29 września potyczkę z kawalerią radziecką, która szybko się wycofała. Przebieg walki nie znany. Nie wiemy również nic o ewentualnych stratach jednej i drugiej strony.

Nocą i następnego dnia (30 września) Podlaska Brygada Kawalerii przesuwała się przez Rudno do lasów między Wohyniem i Branicą (10-15 km na płd. wsch. od Radzyna). Wyślany na rozpoznanie w kierunku Radzyna (przez Branicę i folwark Marynin) 2 szwadron 5 p. ul., dowodzony przez por. B. Piotrowskiego, osiągnął Radzyna ok. godz. 17. W czasie wjazdu do miasta nadjechały od strony Wisznic samochody opancerzone i nie zatrzymując się pojechały w kierunku Łukowa. Došlo do wymiany strzelaw. W kilka minut później nadjechał samochód radziecki i został podobno wraz z załogą wzięty do niewoli. Informacja ta nie jest pewna, wymaga potwierdzenia. I w tej sprawie liczymy na informacje mieszkańców Radzyna.

60 DP W MILANOWIE

Nocą z 29 na 30 września przemierzyła się na zachód 60 DP płk. Eplera, walcząca do późnego wieczora w rejonie Jabłoni. Oddziały przez Głę, Czeberaki, Kostry przeszły w kierunku Milanowa, gdzie ulokowały się w okolicznych lasach, ubezpieczając się na linii Rudno — Jabłonia.

Płk Epler zanotował: „Samodzielny batalion ze 179 pułku pozostaje na

zachód od lasów milanowskich, w zabudowaniach jakiegoś folwarku i nowych kolonii. Ubezpieczają się placówkami we wsi Milanów i na stacji kolejowej, gotowy do boju. Przy wchodzeniu ognia dywizji do lasów pojawiał się bolszewicki samolot. Przelatywał nad lasem i skierował się nad Parczew”.

NA LUBELSzczyźNIE

Przywłani ogniem placówki przy stacji kolejowej, odjeżdżają na Kostry. Ta ścigana ogniem różnych placówek kawaleria była rozpoznaniem większego oddziału”.

Według relacji mieszkańców Milanowa, czerwonoarmięści w godzinach popołudniowych zajęli stanowiska bojowe równoległe do wsi, od kanału koło kościoła poczynając, w stronę lasu, jakby w oczekiwaniu na atak. Wojsko Polskie nie dawało jednak śladu swojej obecności. Późnym popołudniem Sowieci ruszyli tyralierą od toru na zachód w kierunku lasu, za którym leży wieś Cichostów. Idąc, zaczęli strzelać w tamtych kierunkach, ale las młkwał. Tyraliera zbliżyła się do samego jego skraju i została zasypana ogniem z broni ręcznej i maszynowej. Część tyralierzy podeszła tak blisko lasu, że Polacy z jego skraju obrzucili czerwonoarmistów granatami ręcznymi.

Wydarzenia te tak przedstawił płk. Epler: „Ze wsi Milanów i Kostry zaczęła wychodzić piechota. Placówki 179 pułku wycofały się na całej linii zerwała się silna strzelanina. Bolszewicy rozpoczęli ogień z dział, po czym przystąpili do natarcia. Szły gęste linie piechoty, silnie strzelające. Trzeba przyznać, że nieprzyjaciel szedł bardzo ofiarnie, bez względu na straty, toteż szybko doszło do związania się z naszymi oddziałami, tak że miejscami dochodziło do użycia granatów ręcznych”.

Sukcesem było użycie kompanii cekaemów od strony gajówki Kulka i z lasu Góry. Straty wśród żołnierzy radzieckich były olbrzymie. Wielu zostało na polu walki, liczni ranni podążali w kierunku wsi Milanów. Spustoszenia dopełniły cenne strzały artyleryjskie szrapnelami na tor kolejowy, przez który przebiegali wycofujący się Sowieci. Straty strony

polskiej były znacznie mniejsze — na skraju lasu poległo kilkunastu żołnierzy. Walkę przerwał nadchodzący wieczór. Według relacji płk. Eplera, jego wojska zdobyły 11 ciężkich i 7 ręcznych karabinów, maszynowych, jedno zaprzężone działo, większą liczbę broni ręcznej i kilka wozów konnych.

Polacy, poległ i zastrzelony w godzinach przedpołudniowych i południowych na drodze i przy torze kolejowym, pochowani zostali (przez kogo i kiedy?) na miejscowym cmentarzu. Poległych w walce w lesie pochowano w zbiorowej mogile na miejscu walki. Według jednych informatorów, w lesnej mogile leżą tylko żołnierze polscy, inni twierdzą, iż zostali oni tam pochowani we wspólnym grobie z czerwonoarmistami poległymi w ataku na las. Informacja L. Głowackiego („Działania wojenne na Lubelszczyźnie w roku 1939”, Lublin 1986, s. 428), jakoby pochowani tam żołnierze pochodzili ze 135 pp rez. budzi poważne wątpliwości, ponieważ pułk ten nie brał udziału w walkach pod Milanowem.

Ks. S. Byczyński w kronice OSP Milanów napisał o finale walki po stronie Armii Czerwonej: „Długo zbierano na polach zabitych i rannych. Rannych ewakuowano od razu do tyłu na wozach i samochodach. Zabitych złożono w rowie przy torze, aby tam ich pochować, ale później na nowo wydobywano i wywożono, a wtedy ich naliczono około dwustu. Sowieci byli rozwścieczeni”. Niestety brak jest wiadomości, kiedy zwłoki poległych czerwonoarmistów wydoby-

to, gdzie je przewieziono i pogrzebano. Być może, ekshumacja ta miała związek z wiadomością przekazaną oddziałom radzieckim, prawdopodobnie w dniu 2 października, o oddaniu Lubelszczyzny Niemcom.

WALKI INNYCH JEDNOSTEK WP NA PODLASIU

30 września, gdy trwała bitwa pod Milanowem, na odcinku Miłków — Siemień miały miejsca trwające około czterech godzin sowieckie ataki powietrzne na inne jednostki SGO „Polesie”. Atakowały grupy liczące po około 20 samolotów, ale były równieź momenty, w których było ich jednocześnie znacznie więcej. Jak podają niektóre opracowania, straty zadane tym bombardowaniem stronie polskiej były podobno stosunkowo nieduże, dotyczyły głównie wozów taborowych i koni.

Nieco inne informacje na ten temat przekazał płk A. Epler: „Samoloty krążyły przez cały dzień, obniżając się nad same drzewa, nie wykryły jednak naszych dobrze zamaskowanych oddziałów. W godzinach popołudniowych przeniosły swoje zainteresowanie na Parczew i zaczęły go okładać bombami. Ku naszemu zdziwieniu, pojawiły się tam na niebie obłoki rozprysków artyleryjskich: to dywizja „Brzoza” bronila się znajdującym gdzieś działkiem przeciwlotniczym. Bolszewicy działali kłaczami i pojedynczymi maszynami, nadiatującymi w pewnych odstępach, tak że bez przerwy niemal wisiały nad nami samoloty. Jak podał wieczorem komunikat dowództwa Grupy, straty wyniosły kilku zabitych, kilkunastu rannych i trochę koni taborowych”. Ilu ludzi zginęło, gdzie zostali pogrzebani, czy były ofiary wśród ludności cywilnej, na razie nie wiemy. Być może Kłeberczycy lub mieszkańcy Parczewa i okolicy pomogą rozwiłkać zagadkę.

Wcześniej (podobnie 28 września) pod Bisłą Podlaska pojawił się nadjeżdżający od Brzeźcia, opanowany przez czerwonoarmistów pociąg towarowy, złożony z kilku wagonów z żołnierzami i pistoletami z działem. Pociąg został podobno silnie uszkodzony przez jakies oddziały Wojska Polskiego. Brak jest dokładniejszych informacji o tym wydarzeniu. Czekamy na s.t.

(Koniec odcinka 2. — c.d.n.)

LISTY

Anarchiści na diecie

Ostatnio docierają znowsząd głosy oburzenia różnych redaktorów tak „cenionych” gazet jak „Standard Ludu” i „Niestety „Relacje” (vide „Anarchiści na diecie”). Niestety piśmie ci, bo inaczej nie jestem w stanie ich nazwać, nie dostrzegają albo raczej nie chcą dostrzec sedna problemu, jakim jest dostęp młodzieży do ośrodków mających na celu rozwijanie kultury. Każdy z szanowanych redaktorów najchętniej wziąłby pałę, gaz łzawiącą, poprosił milicjanta (który chyba bardziej rozumie ten problem niż nasi szanowni piśmie) i siłą usunął z KMPiK tych „głupich brudasów”. Dobrze, że do tego nie dojdzie, bo okupacja została zakończona.

Można zarzucić tym młodym ludziom, że nie wiedzą, kto to był Stirner, Bakunin, Kropotkin, chociaż i tego tak do końca nie byłbym pewien. Nie widzę w tym nic szkodliwego, że ci ludzie zwrócili uwagę innych na martwość ulic tego naszego miasta, na kluby chludzące się weekendowymi dyskotekami, na które przychodzi późnógospocy szukający ujęcia energii w danis komuś po twarzy. Lepiej byłoby, żeby pan prezydent zwrócił uwagę na to, co dzieje się w takich klubach jak „Medyk”, „Grzeń”, „Chaska Zaka”, kierowanych przez przysięgłych ZSMP-owców, ZSP-owców.

Chciałbym bardzo, żeby już nigdy więcej nie marnowano przez głupotę ludzką tego, co mają do zofierowania młodzi ludzie. Ciekawe, czy ktoś pamięta takie zespoły jak „Patologia ciężki” czy też „Destruktor”. Ich już nie ma. Dla nich nie było miejsca, no bo i po co, przecież to tylko „głupie brudasy”, na których tylko pała jest dobra.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

„W Gorzkowie moda na czystości”

Razem z innymi mieszkańcami przeczytałem artykuł o Gorzkowie, zamieszczony w 32 numerze „Relacji” napisany, w moim odczuciu, przez panią redaktor I. Wlazłowską ku pokrzepieniu serc obywateli starszej się gminy.

Wszyscy mieszkańcy naszej gminy, począwszy od artykułu pani Wlazłowskiej „Tajemnice gorzkowskiego stawu”, który ujął się we łbach „Standardu Ludu”, znowu dobrze trafił następnych artykułów ukazujących gorzkową prawdę o Gorzkowie. Na jeden z publikowanych w prasie artykułów nie ukazała się odpowiedź ze strony władz wojewódzkich, jak i gminnych.

Wiary społeczeństwa gminy w dziennikarza postanowili miejscowi włodarze zwać w następujący sposób: otóż po naradzie upoważnili sekretarza Urzędu Gminy, Tadeusza Wróblewskiego (człowieka najbardziej wstajemniczonego w wydawaniu nielegalnych aktów wotaryczności), do podania do publicznej wiadomości, że panie redaktorki piszą o Gorzkowie nie ołano, lecz dyscyplinarnie wyłano z pracy. Za co? Za to, że pisaly artykuły niezgodne z prawdą.

Napisać i wywieść taką informację na tablicy ogłoszeń było rzeczą trykowną, więc robił to pan sekretarz Wróblewski tak: stanął w kolejkach, o które dzisiaj niestrudno, i oznajmił ludziom utnie.

Wasz tygodnik ukazując się w dniu 24 sierpnia, ostatecznie wyjął zwołnienie z pracy pani redaktor I. Wlazłowskiej. Tak bardzo się wtedy ucieszylem. Wraz ze mną cieszyli się ludzie, którym interes ogółu bardziej leży na sercu niż zintensowanie drobnych interesików.

Zyczę pani redaktor Izabelli Wlazłowskiej dużo zdrowia i wytrwałosci w kontynuowaniu jej pracy jako rzeczniczki interesów społeczeństwa.

Florian Winiarski
Gorzków

WYGRAĆ PRZEGRANE

Dokończenie ze str. 3

Dyrektor:

— Nie możemy pójść na to. Nie może być cena buraka w regionie lubelskim dwukrotnie wyższa niż w pozostałych. To oznacza dla nas bankructwo!

— Podwyższcie fabryczną cenę cukru nawet do dwóch tysięcy. Wtedy się wam oplaci.

Dyrektor:

— Wtedy zwali się na nas NIK, a Izba Skarbowa zabierze wszystko powyżej 30 proc. zysku. Podam przykład. Gorzelnie lubelskie tania produkcja, koraz droższy spirytus, toteż zapłaciły w ubiegłym roku 33 miliardy złotych podatku. A zatrudniają tylko 400 osób, gdy my — 6,5 tysiąca.

Po pierwszych salwach zaparowała chwilowa cisza. Powiało impasem. Jeden z liderów rolniczych oznajmia:

— Jeżeli cukrownie nie zgadzają się na 40 litrów oleju, to kończymy rozmowy. Szkoda czasu, mamy roboty w polu.

Dyrektor Miedziak sięga po dowody.

— Ponieważ spór wybuchł w naszym regionie i u nas jest majstrzejszy, ostatecznie możemy zgodzić się na 27 kilogramów pszenicy. I to jest wszystko, z czym możemy się rozstać.

— Nie zgadzamy się!

Dyrektor:

— W takim razie proponuję, abyśmy wstrzymali się z rozmowami i poczekali na to, co ustali kraj. Zapewniam, że my dostosujemy się do tych ustaleń.

— Panie dyrektorko! To cały kraj o nas czeka, a nie odwrotnie!

— Cukrownie bardzo sprytnie chcą odciąć nas od negocjacji...

— Mamy teleks ze Szczecina, że tam cukrownie dają 33 kilogramy pszenicy przy cenie 28 tysięcy za kwintal. To daje 9 tysięcy złotych za kwintal buraków. Jest o czym rozmawiać...

Któryś z dyrektorów wspiera wyraźnie utrudzonego maczelnego.

— Dlaczego upieracie się przy przecenieniu oleju z osiemdziesiątego pierwszego roku? Weźmy inne lata.

— Bo tak ustalono w umowach ustnych w czasach pierwszej Solidarności!

— Panowie dyrektorzy: okopaliście się w tej waszej pszenicy i wcale was stamtąd nie widać!...

ZBLIŻA się pora obiadowa. Gospodarze cukrowni zapraszają wszystkich do posiłku. Godzina przerwy, ale wszyscy spożywają obiad w pośpiechu. Dyrektorzy udają się na górę, rolnicy wracają do świetlicy. Porę ustalić plan batalii na po przerwie.

Pytam przedstawicieli Solidarności RI, czy mógłbym zostać i posłuchać.

— A pan z jakiej gazety? Partyjnej? — Bo ja wiem? — odpowiadam. — Z „Relacji”.

Głos z tyłu: — W porządku. Niech zostanie. „Relacje” rozebrały pomnik Bieruta!

Zostaje. Nastroje kiepskie. — Oni wiedzą, że my buraki i tak musimy oddać. — Musimy coś ustąpić. — Ale co i ile? Broń Boże na pszenice. — W takim razie może 30 litrów oleju?

Po przerwie atmosfera impasu potęguje się. Obie strony powtarzają te same argumenty. Wreszcie strona solidarnościowa rzuca ostatecznie kładkę: 30 litrów oleju.

Cukrownicy nie chcą o tym słyszeć. To oznacza 105 tysięcy złotych za tonę. Razem z dodatkami za transport, terminowe dostawy i ekwiwalent za wysłodki — około 120 tysięcy złotych. Czyli ponad 3000 złotych za kilogram cukru na półkach sklepowych.

W oknach świetlicy ostro kluje w oczy coraz niższe słońce późnego popołudnia. Zmierzcha też w sercach negocjatorów obydwu stron. Wstaje przedstawiciel Solidarności RI. Wyraźnie uroczystym głosem oznajmia.

— Panowie dyrektorzy. Zmuszacie nas do podjęcia akcji protestacyjnej. Odpowiedzialność za to spadnie wyłącznie na was! My wam pozwolimy rozpocząć produkcję, dostarczyć buraki na rozruch, a potem staniecie, bo nie będzie surowca.

Na takie dictum dyrektorzy cukrowni byli przygotowani. Pozostaje tylko jedno: czekać na echa z innych regionów. Dyrektor Miedziak jeszcze raz stanowczo podkreśla, że on dostosuje się do niemal każdej ceny, ale obowiązującej w całym kraju.

Znow runda. Krótsza, bo trwała tylko sześć godzin. Przedstawiciel Solidarności RI w uprzejmych słowach dziękuję za gościnę i obiad. I to już wszystko, co obie strony miały sobie do powiedzenia tego dnia.

Po wyjściu cukrowników chwilę wahałam się, nie wiedząc gdzie zostać, bo przecież obie strony coś jeszcze będą ustalać po walce, na przyszłość naj-

bliższych dni czy tygodni. Teraz wybieram dyrektorów, bo już wiem, że tu, w świetlicy, zapadnie już tylko jedna decyzja: wstrzymanie dostaw buraków.

Na gorze nastroje nie lepsze. Wszyscy byli niemal pewni takiego finału, a jednak liczyli przynajmniej na jakieś zbliżenie stanowisk, na tę kontaktową bramkę, z jednej czy drugiej strony. Bramka nie padła. Ale wiadomo przecież, że paść musi. Cukrownie muszą ruszyć. Cukier musi znaleźć się na półkach sklepowych, kubańskie białe kamyki, rozpuszczające się w szklance herbaty przez pół godziny, polskiego cukru nie zastąpią.

Po chwili wchodzi do gabinetu cburzerzy przedstawiciel prasy chełmskiej i zamojskiej. Uczestniczyli w drugiej połowie batalii, teraz chcieli zostać na dole, ale ich tam wyproszono za drzwi. Pijąc dyrektorską kawę czują się jakby po stronie cukrowników, ale sercem i myślami raz po raz wybiegają na dół, do świetlicy. Szkoda mi tamtych. Szkoda mi tych tysięcy kobiet, starych mężczyzn, dzieci i całych rodzin, które na klęczkach opiekli dwa razy swoje buraki, a teraz je ogłowia, wyrwą z ziemi, oczyszczą, porzucają na kupki, z kupek na przyręczycy ciągników i furmanki. Potem, wieczorem, ojciec czy mąż, okutany w kożuch, z flaszka ciepłej herbaty wyjedzie do cukrowni, ustawi się przed nią w dwustumetrowej kolejce, da w łapę dwa tysiące procentmistrzowi, żeby mniej policzył brudu czyli ziemi, wróci rękawem i tak będzie przez kilka czy kilkanaście następnych nocy. Potem jeszcze wyjedzie kilka razy do cukrowni po należne wysłodki, zabierze się do zwożenia liści buraczanych...

Za ile? Za ile to wszystko? Za 25 kilogramów pszenicy czy za 30 litrów oleju? Może za 20 litrów, może za 50 kilogramów pszenicy? Te pytania stawiam 14 września. Za tydzień może już ktoś ustąpi.

W każdym razie ja cieszę się. Cieszę się z tego, że nie uprawiam buraków. I z tego, że nie jestem dyrektorem cukrowni. I z tego, że w czerwcu udało mi się zachomikować trzy opakowania cukru, każde po 10 kilogramów, a marne 210 złotych. Bo przeznaczony zawsze ubezpieczony — głosz a. genci pewnej oszukańczej instytucji. I tu mają rację!

Henryk Pająk

włącznie. Główne kryteria kwalifikacyjne to: realne zainteresowania kulturą niemiecką, potrzeby naukowe, znajomość języka niemieckiego (przynajmniej w stopniu dającym możliwość porozumienia) oraz samodzielność myślenia, ujawniona m.in. w czasie rozmowy-nawadźnianiu. Komisje (w Lublinie, Warszawie: KIK i Krakowie: PAT) przyjmują zgłoszenia w dwu terminach: do 15 października (w spra-

studentów pragnęłoby uczęszczać przez jeden semestr, w charakterze wolnych słuchaczy, na określone zajęcia w którejś z wyższych uczelni w Republice Federalnej Niemiec, zaraz po powrocie do domu jął się rozglądać za sposobami, które by umożliwiły spełnienie owych życzeń polskich kolegów.

GFPS to przede wszystkim wspólnota. Wspólnota ludzi pragnących

GFPS — WSPÓLNOTA MŁODYCH NIEMCÓW I POLAKÓW

przewyższać stare uprzedzenia, przekraczać sztywne granice i tworzyć nowe wspólne wartości kultury europejskiej. Stowarzyszenie posiada swój Komitet Honorowy, do którego należą m.in. takie osobowości jak (z RFN) prof. B. Casper, znany filozof religii, prof. E. W. Böckenförde, filozof prawa i sędzia Sądu Konstytucyjnego RFN oraz prof. K. Zernak z Giessen czy (z Polski) Wł. Bartoszewski, prof. J. Kłoczowski, prof. Wł. Stróżewski, księża profesorowie T. Styczeń i J. Tischner oraz prof. J. Woźniakowski. Obecnie prezeską GFPS jest Daśa Stefańska z Regensburga.

O przyznaniu stypendium (w skład którego wchodzi także locum, ubezpieczenie i specjalny talon na zakup książek) może się starać każdy polski student począwszy od III roku studiów aż po studia doktoranckie

wie stypendium na semestr wiosenny przyszłego roku) i do 15 stycznia (w sprawie stypendium wakacyjnego albo na semestr jesienny).

Bliższych informacji udzielają komisje kwalifikacyjne: w Lublinie (KUL) należy zwracać się po informacje oraz specjalne kwestionariusze podaniowe do następujących studentów: Zuzanna Markiewska (germanistka), Jarosław Kozak (filozofia), Tadeusz Dacewicz (socjologia). Można też zwracać się (listownie!) do doktora Wojciecha Chudego z KUL-u (Al. Raclawickie 14, Zakład Filozofii), gdzie ostatecznie muszą trafić podania o stypendium.

Uwaga: w Lublinie ubiegać się mogą tylko osoby studiuje na wschód od Wisły (z Trójmiastem, lecz bez Warszawy).

W. Ch.

INFORMATYK KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 23—25.09 godz. 19 (Scena Duża), ul. Narutowicza 17): „Portret” Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.

21—22.09 godz. 16 (scena Reduta): „Poobiednie igraszki” Romy Mahieu. Teatr Muzyczny: 23—24.09, 26—27.09 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza, ul. Kunickiego 35): „Bal w Savoyu” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 22.09 godz. 19 — koncert kameralny z cyklu „Laureaci Konkursów Muzycznych”. Wystąpią: Beata Warykiewicz (skrzypce), Bogusław Furtak (kontrabas), Ewa Warykiewicz-Chwastek (fortepian). W programie: Pieśń polska op. 12 H. Wieniawskiego, fantazja na temat z opery „Faust” Ch. Gounoda, Elegia G. Bottesiniego, fantazja na temat z opery „Lunaticzka” Belliniego oraz Grand duo concertante na skrzypce kontrabas i fortepian.

WYSTAWY

W LUBLINIE

BWA — nieczynne z powodu kłopotów finansowych (!)

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa pt. „Wrzesień w literaturze”

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa pastelii Ireny Saładonis.

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”: 22.09 godz. 12 — otwarcie wystawy pt. „GRYPYSY więźniów politycznych Zamku Lubelskiego z okresu okupacji”.

Muzeum Kultury Fizycznej i Sportu (Al. Zygmunto-wskie 4) — wystawa pt. „Sport w obozach jenieckich”.

Muzeum na Zamku — wystawa pt. „Rosyjskie ikony końca XVIII — początku XX w.”.

Filharmonia (foye) — wystawa malarstwa Juliusza Kleczka.

W NAŁĘCZOWIE

Muzeum Ruchu Spółdzielczego w Polsce — I ogólnopolska wystawa poświęcona życiu i działalności Zygmunta Chmielewskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa obwoluty i okładki książkowej (ze zbiorów BWA w Białej Podlaskiej).

W CHELMIE

Galeria 72 — wystawa międzynarodowej grupy artystycznej „ARBEITSKREIS”.

A. W.

OŚWIADCZENIE TEATRU STUDYJNEGO

Informujemy, że spektakle „Dekameron” w dniach 16—19 września zostały odwołane. Na ich prezentację w sali Teatru Łalki i Aktora nie wyraził zgody O. O. Dominikanie, do których należy budynek Teatru Łalki. Szanując wolę właścicieli i akceptując ich przesłanie, że prezentacja „Dekameron” mogłaby obniżyć powagę miejsca, związanego z kultem wyznania katolickiego, informujemy, że przedstawienia zostaną przeniesione do sali przy ulicy Świerczewskiego 13. O terminach spektakli lubelska publiczność zostanie szczegółowo poinformowana w prasie, radiu i telewizji.

Jednocześnie komunikujemy, że O. O. Dominikanie wyraził zgodę na prezentację przedstawień „Jesieni Teatralnej” w sali Teatru Łalki i Aktora.

Wiceprezes Zarządu i Dyrektor Artystyczny Waldemar Sulisz



CZWARTEK 21 WRZEŚNIA

PROGRAM I
8.35 Domator: Nasza poczta; Aerobik z Mariolą
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” — „Hotel Labirynt” — serial krym. prod. USA
10.15 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Polskie zdroje: Szczażno-Zdrój
16.25 Dla młodych widzów: Kwant — Wyprawa w głąb mikroświata oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 „Grupa B” — wojskowy program historyczny
17.55 Sonda: Pionowy start
18.25 1939 wrzesień — program dok.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarzy
19.30 Dt
20.05 „Policjanci z Miami” — „Hotel Labirynt” — serial krym. prod. USA
20.55 Kroniki PAT: Tak było...
21.10 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.00 Powstańcze losy — program dok.
22.45 Dt — echa dnia
23.00 Jutro w programie

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej: „Skarby Jagiellonki” cz. I
18.00 Program lokalny
18.30 Dzieci dzieciom — program rozrywkowy
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (12) — „Drzewa” — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio sport: Wielki tenis stołowy
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Bolesław Leśmian — „Idę łąko ku tobie, czyli ilżecki romans Bolesława Leśmiana”. Reż. Andrzej Maj. Wyk.: Dorota Pomykała, Maria Zajądłówna-Radwan, Ewa Isajewicz-Telega, Elżbieta Karkoszka, Lidia Duda, Zbigniew Bielski, Tadeusz Huk, Krzysztof Globisz, Stanisław Gronkowski
22.35 Warszawska Jesień w obiektywie reportera
22.50—22.55 Komentarz dnia

**PIĄTEK
22 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
8.35 Domator: Nasza poczta; Aerobik z Mariolą
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Zagrać na piszczałce” — film fab. prod. CSRS
10.45 Domator: Szkoła dla rodziców
16.20 Program dnia i Dt — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Program dok.
18.00 Szkoła mistrzów: Stanisław Różewicz
18.20 Polska walcząca 1939—1945 (cz. III): „Rząd gen. Si-

orskiego we Francji” — program dok.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kret
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Akademia filmowa: „W kręgu zła” — film fab. prod. franc.
22.20 Kroniki PAT: Tak było...
22.35 Czas — mag. public.
23.05 Dt — echa dnia
23.20 Jutro w programie

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Z czego śmieją się sąsiedzi: „Kolt czy nie kolt” (parodie filmów westernowych) — film prod. węgier.
19.00 Spotkanie z Liv Ulmann
19.30 Dookoła świata: „W Bremie”
20.00 VII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny
20.50 Brawo dla Włodzimierza Nabornego — magazyn Barbary Pietkiewicz
21.30 Panorama dnia
21.45 „JA, który byłem na wirażu” — reportaż
22.20 Filmy Paula Coxa: „Samotne serca” — film prod. australijskiej
23.55—24.00 Komentarz dnia

**SOBOTA
23 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Arabella” — serial prod. USA
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Iskierki na „Iskrze” — wojskowy program dok.
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Flesz — magazyn muzyki rozrywkowej
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz — „Sława i chwała” — cz. III — „Piękne lato”
14.50 Program dnia
14.55 Komedie, komedie, komedie: „Wiosna panie sierżancie”
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Polityka, politycy
17.15 Teleexpress
17.30 „Zabawy w dorosłych ciąg dalszy” — film dok. Jadwigi Zukowskiej
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Nowości
19.30 Dt
20.05 „Wielka nadzieja białych” — film fab. prod. USA. Reż. Martin Ritt. Wyk.: James Earl Jones, Jane Alexander, Lou Gilbert
21.35 Telewizyjny przegląd sportowy
21.55 Tydzień w polityce
22.05 Bałtycki Festiwal Piosenek Karlsham '89
23.05 Telegazeta i jutro w programie
23.10—0.55 Kino sensacji: „Omen” — horror prod. USA. Reż. Richard Donner. Wyk.: Gregory Peck, Lee Remick, David Warner i inni

PROGRAM II
13.45 Konkurs 5 milionów
14.30 Bariery — program o niepełnosprawnych
14.55 Program dnia
15.00 „Ordy: Stephenson — lokomotywa parowa” — film rys.

15.25 Spektrum — program popularnonaukowy
15.40 Antarktyczne lato — film przyr. prod. USA
16.05 Meandry architektury: Zwierzęta z kamienia
16.25 „Trzy ołtarze” — film dok. prod. duńsko-angielskiej
17.00 Kraków na antenie „Dwójki”
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Szansa: Dziewczyna miesiąca — teleturniej
19.30 Kraków na antenie „Dwójki”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon” (20) — serial prod. franc.
22.40—22.45 Komentarz dnia

**NIEDZIELA
24 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film prod. polsko - zachodniemieckiej z serii „Janka” — odc. 1 pt. „Orły i wilki”
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi” — odc. 10 (ostatni) serialu dok. prod. hiszp.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Magazyn „Morze”
13.10 Agromarket — magazyn
13.40 Teatr dla dzieci: Kim Mieszko, Juliusz Wolski — „Słonecznik”
14.30 „Pieprz i wanilia”: Nieznany kraj — „Ameryka różnych ludzi”
15.15 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (19) — serial prod. brazyl.
17.10 Teleexpress
17.25 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Bruno Winawer: „Po prostu truteń”. Reż. Marek Nowicki. Wyk.: Joanna Zólkowska, Damian Damięcki, Katarzyna Walter, Wiktor Zborowski, Grażyna Barczewska i inni
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy kaczora Donaldka
19.30 Dt
20.05 „Klan” — (4) serial prod. franc.
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sportowa niedziela
21.55 W sztucznym świecie — reportaż
22.15 Piosenki Elvira Presleya
22.45 Wyniki Totalizatora Sportowego, Telegazeta
22.50 Jutro w programie

PROGRAM II
8.45 Przegład tygodnia (dla niesłyszących)
9.20 Film dla niesłyszących: „Klan” — (4) serial prod. franc.
10.20 Krótkofalowy
10.50 Studio sport: Maraton Pokoju
11.20 Jutro poniedziałek
12.00 Studio sport: Maraton Pokoju
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” — serial przyg. prod. ang.
13.25 100 pytań do...
14.05 Studio sport: Maraton Pokoju
14.20 „Polacy” — film dok.
15.10 Podróże w czasie i przestrzeni: „Badacze nieznanych kultur” (3) — serial dok. prod. ang.
16.00 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.25 Formuła I
16.40 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie
17.10 Formuła I
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
18.55 Formuła I

19.05 Wywiady Ireny Dziezic
19.30 Galeria „Dwójki” — Muzeum w Bochum
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (4) — serial fab. prod. USA
23.00 Warszawska Jesień w obiektywie reportera — relacje, komentarze, opinie
23.15—23.20 Komentarz dnia

**PONIEDZIAŁEK
25 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Echa stadionów
18.10 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.30 Laboratorium
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Maria Nurowska „Małżeństwo Marii Kowalskiej”. Reż. Piotr Cieślak. Wyk.: Jadwiga Jankowska-Cieślak, Kazimierz Kaczor, Wiesław Komasa, Cezary Morawski, Władysław Kowalski, Ewa Decówna i inni
21.40 Kroniki PAT: Tak było...
21.55 Studio sport: Mistrzostwa świata w boksie
22.10 „Przez ogień i wodę” (1) — film dok. Karola Lubelczyka
22.40 Dt — echa dnia

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna: O albumie i różnie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd Polskich Kronik Filmowych
19.00 Young Power — recital zespołu
19.30 Życie muzyczne: Warszawska Jesień '89 w reporterskim skrócie
20.00 Auto moto fan klub
20.30 Spotkanie z Kalinką — teleturniej wiedzy o ZSRR
21.45 Aktualności kulturalne
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Henry Miller” — film dok. prod. zachodniemiecko - angielsko - francuskiej. Reż. Michele Arnaud
22.40 Komentarz dnia

**WTOREK
26 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
8.35 Domator: Rady na życie; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Oziębłość” (2 — ostatni) — film fab. prod. ang.
10.25 Domator: Rady na życie
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Punkty widzenia
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (38) — serial prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę” (10) — serial prod. ang.
18.20 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesole przygody Pika, Kwika i wiewióryba Grubaska

19.10 Stop — magazyn konsumentów
19.30 Dt
20.05 „Oziębłość” (2 — ostatni) — dramat obycz. prod. ang.
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 Studio sport: Mistrzostwa świata w boksie
21.30 „Przez ogień i wodę” (2) — film dok. Karola Lubelczyka
22.20 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy
23.10 Dt — echa dnia

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Komedie, to jego specjalność — program o komediach Stanisława Barei
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Non stop kolor
21.00 W kręgu sztuki: „Pełkińskie zakazane miasto” (3 — ostatni) — film dok. prod. japoń.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Solidarność
22.25 „Nadzór” — dramat psych. prod. TVP. Reż. Wiesław Saniewski. Wyk.: Ewa Błaszczyk, Teresa Sawicka, Grażyna Szapolowska, Ewa Szykulska, Gabriela Kownacka i inni
0.20 Komentarz dnia

**ŚRODA
27 WRZEŚNIA**
PROGRAM I
8.35 Domator: Nasza poczta; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Babcia chyba oszalała” — komedia obycz. prod. CSRS
10.40 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.15 Program dnia. Dt — wiadomości
16.20 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: „Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego” — film dok. prod. ang.
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia — magazyn państw socjalistycznych
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gabki
19.10 Program public.
19.30 Dt
20.10 Studio sport: Puchar Zdobywców Pucharów w piłce nożnej (Legia Warszawa — FC Barcelona)
22.00 Kroniki PAT: Tak było...
22.15 Raport
22.35 „Przez ogień i wodę” (3 — ostatni) — film dok. Karola Lubelczyka
23.30 Dt — echa dnia

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Z życia clowna — reportaż
18.00 Telewizyjna, Panorama Lubelska
18.30 Piosenki Edith Piaf — śpiewa Irena Pająkówna
19.00 Konkurs video-clipów
19.30 Zwierzęta wokół nas: Podaj łapę
20.00 „Szopy z piasku” — film fab. prod. CSRS
21.00 „Ojciec” — reportaż Marka Nowakowskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” (39) — serial TVP
22.15 Studio sport: I runda Europejskich Pucharów (mecz Juventus Turyn — Górnik Zabrze)
23.50 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciółek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlużuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 209-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1351. 4.09.1989 r. B-5.

JERZY URBAN GROZI PREMIEROWI

Andrzej W. Pawluczuk

JESZCZE nic, na dobrą sprawę, nie zostało postanowione, a już niektórzy funkcjonariusze byłego rządu kasać i grozić, że kasać będą jeszcze mocniej. W normalnym kraju takie zachowanie zasługiwałoby co najwyżej na uśmiech politowania, ale u nas, kiedy droga do normalnego życia politycznego dopiero się zarysowała, trzeba coś takiego obserwować i opisywać. Jest to bowiem świadectwo nie tylko patologii osobniczej, ale głębokiej deprawacji dotychczasowych struktur i organizacji władzy. A więc jest to świadectwem tego zarazem, że stary porządek zdecydowany jest bronić swoich pozycji, swoich apañaży, przywilejów, a wreszcie wpływu na bieg państwowych wydarzeń. Jest to realne utrudnienie, jakie stoi przed rządem Tadeusza Mazowieckiego.

Jak doniosła prasa codzienna, 31 sierpnia kilkudziesięciu pracowników radia i telewizji odznaczono wysokimi orderami państwowymi. Z tej okazji prezes Radiokomitetu, czyli Jerzy Urban, wygłosił przemówienie, w którym wyparł się tego, co było do niedawna nienaruszalnym tabu jego i kolejnych rządów PRL.

Oto jak pamiętamy z roku 1981 dyskusję na temat uspołecznienia telewizji czy przekazania „Solidarności” osobnego kanału bądź programu, stanowisko władzy było stanowcze: telewizja jest organem rządu, a żaden rząd nie pozwolił sobie... i tak dalej. Skończyło się wówczas na niczym, a stan wojenny pokazał wkrótce, jak ten rząd za pomocą telewizji potrafi obrażać społeczeństwo.

I teraz, kiedy nowy rząd, otrzymując w „spadku” stare struktury, zyskuje naturalną koleją rze-

czy kontrolę nad telewizją, radiem i... cenzurą, prezes Jerzy Urban powiada: stop, panowie! Telewizja nie leży bynajmniej w gestii rządu, a przede wszystkim to nie jesteście panowie posłami, senatorami, a pan Mazowiecki nie jest premierem. Wszyscy jesteście „politykami z dawnej opozycji”, toteż jeżeli będziecie zanadto „podskakiwać”, PZPR i OPZZ wespół z SD PRL zrobią z wami porządek. A jeżeli będzie za mało, to „wsparcia z zewnątrz nie zabraknie”. Innymi słowami: wara legalnemu rządowi PRL od telewizji i radia, a jeżeli nie posłuchacie po dobroci, to wypróbowane sposoby wymuszania posłuszeństwa dawna władza ma wciąż do dyspozycji. I użyje ich, powiada Jerzy Urban, jeżeli tylko jej interesy zostaną zagrożone przez legalny rząd. Rząd?

Jaki znowu rząd? — daje do zrozumienia prezes Radiokomitetu. Zwracam uwagę na to sformułowanie, gdyż jest niezwykle smakowite i obnaża ukrywaną na co dzień głęboką nienawiść do społeczeństwa, które w wolnych — nareszcie — wyborach, zadecydowało, kogo chce widzieć u steru rządów. To są tylko „politycy z dawnej opozycji”. A jeżeli oni są „opozycja”, a my mamy „wsparcie z zewnątrz”, to przy nadarzającej się okazji znowu ich rozpędzimy i będzie spokój. Oczywiście czytamy „między wierszami”, ale właśnie taki sposób myślenia leży u podstaw tego rodzaju sformułowań, używanych przez Jerzego Urbana.

I nie mam najmniejszej wątpliwości, że sformułowania te zostały użyte z całą premedytacją, ze świadomym zamiarem, aby tak, jak powyżej, zo-

stały odebrane. Pan Urban nieraz dał dowód swojej wysokiej inteligencji, by można przypuszczać teraz, że popełnił zwykły lapsus. Do zastanowienia pozostaje natomiast sprawa, czy powyższa wypowiedź prezesa Urbana została uzgodniona z „górami”, czy jest to raczej nieudolna próba robienia własnej polityki. Tutaj miałbym już pewne wątpliwości, ale — niewielkie. Albowiem cała kariera Jerzego Urbana jako rzecznika prasowego kolejnych rządów wykazuje, że zawsze to, co mówił, było wyrazem stanowiska władzy. W każdym razie kolejne rządy wszystkie jego wypowiedzi firmowały; nie pamiętam, aby rzecznik prasowy coś odwoływał lub przeproszał ludzi, których obraził. Dlatego przypuszczam, że obecne straszenie „wsparciem z zewnątrz” jest fragmentem szerszej strategii, i że ta strategia nie pozwala na razie, aby podobne groźby padały z ust funkcjonariuszy wyższego szczebla.

I jeszcze jeden szczegół, ale powiada się przecie, że diabeł siedzi w szczegółach. Otóż w kręgu cywilizacji europejskiej przyjęło się, że kiedy opozycja wygrywa wybory, ludzie starej ekipy podają się sami do dymisji. Jest to może gest, ale świadczy on o wysokiej kulturze (nie tylko politycznej) i szacunku do drugiej strony. Po prostu człowiek na pewnym poziomie sam wie, kiedy opuścić scenę, gdy jego czas dobiegł końca. Nie czeka zatem, aż go wyproszą, ale wychodzi sam.

Jerzy Urban zdradza się w swojej wypowiedzi, że wie o tym obyczaj, lecz nie zamierza go respektować. To ostrzeżenie także warto zapamiętać. Otóż przełożywszy je na język komunistycznej praktyki politycznej, brzmi ono mniej więcej tak: nie spodziewajcie się po nas respektowania parlamentarnych i dżentelmeńskich obyczajów w polityce. Nie szkodzi, że społeczeństwo jest po waszej stronie. My mamy „wsparcie z zewnątrz” i dobrowolnie nie ustąpimy, toteż respektować reguły demokratycznej gry politycznej będziemy tylko wówczas, gdy będzie to nam odpowiadać.

Naturalnie błąd (tak jak wyostrzenie kwestii) jest niezbywalnym prawem felietonisty i przyznam, że bardzo, ale to bardzo, chciałbym nie mieć w tej mierze racji. Czy się dużo myliłem — pokaże wkrótce czas.

— Tym razem wraca pan z bardzo daleka.

— Tak, bywałem już dość daleko — na Karaibach, w Kanadzie (tranzytem), ale w Stanach Zjednoczonych znalazłem się po raz pierwszy. I tak moje młodzieńcze wyobrażenia o białym kanionie, kowbojach, bohaterach powieści Jacka Londona (notabene w Oakland miał swój domek) zderzyły się z rzeczywistością.

— I co się okazało?

— Zacznę może od tego, że jest to odległość od Polski nieprawdopodobna. Z Warszawy leci się samolotem przez Bornholm, Danię, Szkocję, Grenlandię, potem Kanada — tank, zmiana landolgi. Jest to, jakby nie było, już 8 godzin lotu. Kolejno: Los Angeles — nocleg i luksusowe warunki hotelu Hilton. Stamtąd już blisko do celu: San Francisco. Na miejscu właściwi ludzie, bieg wydarzeń wolny od stresów, każdy punkt programu według ustaleń, we właściwym czasie. Pierwszy dzień mieliśmy — tzn. żona i ja — wolny, aklimatyzacja itp., ale cały pobyt obfitował w atrakcje i doświadczenia. Już wkrótce pokazano nam San Francisco, pojechaliliśmy także na drugą stronę zatoki — do Berkeley. Samo miasto wywołało we mnie dość mieszane uczucia, okazało się bowiem, iż jakkolwiek jego położenie jest bardzo atrakcyjne, to samo budownictwo — przeważnie parterowe drewniane — jest bardzo zwyczajne, by nie powiedzieć tandetne.

— A gdzie słynne wieżowce?

— Są, ale tylko w dzielnicach bankowych. Urokliwe są natomiast tramwaje wędrujące po malowniczych i obłędnych wznięsiach (!), dzielnie mniejszości narodowych, jak m.in. Chinatown czy japońska. Kalifornia, jak wiadomo, jest krajem, gdzie mieszka wielu ludzi z Ameryki Łacińskiej. Ciekawostką, uprzedzając mnie, że tu będą niesamowite upały itd., tymczasem okazało się, że poranki i wieczory są po prostu chłodne, więc zastosowanie znalazły, wrzucone do waliz w ostatniej chwili, grube swetry. I jeszcze coś zabawnego: jest to kraj uwielbiający plastik. Fakt ten odkrywa się z niemalym zdziwieniem w najbardziej szokujących momentach. Np. wspaniała wanna w hotelu Hilton „po bliższym poznaniu” okazuje się plastikowa: elegancka zastawa, na wygląd z najczystszej porcelany

ny — również. Co kraj to obyczaj!

— Zgadza się, ale wspaniałostwo wyrobu mówi swoje.

— Na pewno. Zresztą, skoro już plotkujemy, to jest to też kraj ludzi pogodnych, życzliwie uśmiechniętych. Doświadczyłem tego w codziennych kontaktach wielokrotnie, to miłe i pomocne.

— Demokracja amerykańska ma się symbolu...

— To prawda, obserwowałem ją „z bliska” i powiem krótko: tu nikomu nie się nie należy, każdy pracuje na własny rachunek. Liczy się talent, pracowitość, kompetencje i walory moralne. Dla wielu jest to bardzo, bardzo trudny system. Z drugiej strony, stanowi on poważną motywację

inwestowania we własnym zakresie.

— Instytucje muzyczne...

— Tu państwo nie jest sponsorem, a jednak! Widziałem w San Francisco wspaniałe gmachy mowy wybudowanej filharmonii, operę, a w triumwiracie miast — San Francisco, Berkeley i Oakland (coś na kształt Gdańska, Sopotu i Gdyni) — kolejne siedziby filharmoniczne i operowe. Przy okazji: Berkeley jest wspaniałym organizmem uniwersyteckim (40 tys. młodzieży), tu wykłada m.in. Czesław Miłosz.

Miałem koncerty z California Chamber Orchestra z utworami H. M. Goreckiego, G. P. Telemanna, J. S. Bacha i T. Bairda. Solistką dwóch koncertów była utalentowana flecistka belgijska, Isabelle Chapuis. Jest ona także wykładowcą konserwatoriów w Berkeley i Oakland. Mieliśmy tylko dwie próby (bywają i trzy), bowiem i tu o wszystkim decydują pieniądze. Po prostu: dyspozycyjność muzyka jest, bo być musi — tu nie ma czasu na korepetycje!

— Spotkał pan ciekawych ludzi?

— O tak! Przede wszystkim Kazimierza Korda, szefa Filharmonii Narodowej w Warszawie, przygotowującego tu dwie opery — „Falstaffa” i

„Otella” (premiery 7 i 28 września), mającego do dyspozycji cztery próby z zespołem wykonawczym! Z reguły muzyki pracują w godzinach: 10 do 13, mają prawo do dwóch przerw — 20 i 10 minut, i koniec. Z drugiej strony, przedłożenie pracy choćby o minutę grozi spuszczeniem kieszeni managera zespołu. Za wszystko przecież się płaci. To jest profesjonalizm, nie ma czasu na sentymety.

— Ale sama praca z muzykami tej klasy, jaką prezentują zespoły amerykańskie, musi być przyjemnością.

— I jest nią rzeczywiście. Koncentracja, realizacja poleceń są absolutne. Muzyk wie — co i jak ma zagrać, sprawą dyrygenta jest natomiast reżyseria planów dźwiękowych. Jest to

się o istnieniu Fundacji Kultury Polskiej w San Francisco (w przybliżeniu odpowiednik Fundacji Kościuszkowskiej) i poznałem jej przewodniczącą, ba, spiritus movens — Wandę Torczykowską, panią pochodzącą z przedwojennej hrabiowskiej rodziny. Dzięki niej sprawy polskie mają tu znaczący wymiar i historyczną ciągłość. Poznaliśmy także prof. Wierzbiańską, która poświęciła nam sporo czasu, pokazując m.in. Oakland, goszcząc i obdarowując przyjaźnią. Spotkałem również Marię Teutsch, absolwentkę UJ na wydziale filologii angielskiej (obecnie kierownik Instytutu Języków Uniwersytetu w Stadfort). Przypomniała mi, że była swego czasu moją uczennicą w szkole muzycznej

PRESTO — PO AMERYKAŃSKU

Rozmowa z Adamem Natankiem, dyrektorem FL

własnie demokracja, połączona z wysoką klasą profesjonalizmem — wszystko trzeba wypracować samemu, najlepiej jak tylko jest to możliwe, bo konkurencja nie śpi. Opowiadano mi, że w jednej z oper było wolne miejsce dla altowiolisty i co? Do egzaminu konkursowego zgłosiło się 220 muzyków!

— Jaka jest amerykańska publi-

czność? — Publiczność po prostu chodzi na koncerty, płacąc za nie prawdziwe pieniądze, a jej reakcje są spontaniczne, ujmuje...

— Po koncertach był chyba jeszcze jakiś czas wolny...

— Tak, byliśmy w Lake Tahoe, miejscowości oddalonej od San Francisco o 30 km i położonej na wysokości 1800 metrów n.p.m. Mieszkaliśmy w posiadłości, w której było 7 czy 8 sypialni, tyleż łazienek, dwa living roomy, wspaniałe instrumenty i inne akcesoria. To były niezwykle trzy dni.

Mile wspominam również echa koncertów w tamtejszej prasie, telefony do hotelu od różnych prywatnych osób z propozycjami spotkań, kolacji, obiadów. Tą też drogą dowiedziałem

w Krakowie (solfeż i zasady muzyki)...

— Świat jest mały!

— Oczywiście! Ale cieszą spotkania po latach, zwłaszcza gdy spotyka się ludzi sukcesu, gdy bez trudu odczytuje się ich znaczący wkład w kulturę, dobro innego państwa i społeczności. Ot, choćby jeszcze jeden przykład: małżeństwo Jankowskich. On ukończył handel zagraniczny, dziś wspaniale prosperuje w Kalifornii i chyba wszyscy mogą być z niego dumni. Osobiście mogą tylko ubolewać, iż tak wielu wspaniałych Polaków spotkałem właściwie poza krajem — w Europie i za Oceanem. To skutek polskiej polityki lat minionych. Wielkość tych ludzi, pozycja społeczna, talent twórcy bardzo mnie poruszyły... Mam nadzieję, że zwycięży rozsądek. Wierzę w profesjonalizm i talent. One muszą zafunkcjonować.

— Zaproszono pana do Ameryki ponownie...

— Oboje z żoną otrzymaliśmy propozycję na rok 1991. Zona wystąpi z recitalem na festiwalu w Lake Tahoe.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Teresa Księska

W NUMERZE 37. OPUBLIKUJEMY:

★ „CZERWONE NOCE” ZABUŻAŃSKIEJ AK ★ JERZY SMORAWIŃSKI O OJCU — GENERALE ★ ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE ★ POLSKA Z OKNA MANHATTANU ★ KONIEC AMERYKI? ★ CZEGO NIE WIDAĆ W MAŁASZEWICZACH? ★ PRYWATNA WOJNA MICHAŁA ZIELIŃSKIEGO ★ FAJANS — CZYLI HARASIMIUK O PIERIESTROJCE ★ „NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!”